ŁOWIEC POLSKI



Dzik w kniei. Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 1 (921) 1 STYCZNIA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–

59



Do dziczego miotu... Fot. St. hr. Zamoyski.

W OBRONIE PRZYSZŁOŚCI ŁOWIECTWA POLSKIEGO

STOSUNEK WŁADZ I SPOŁECZEŃSTWA

Fauna i zwierzostany danego kraju są pochodną jego kultury łowieckiej.

Łowiectwo, w najgłębszem jego ujęciu, jest sztuką współżycia z żywą przyrodą i umiejętnością brania z jej darów tyle właśnie, ile można, nie naruszając źródła jej bogactw. W przeciwstawieniu do bogactw mineralnych, które można czerpać bez ograniczeń, bogactwa żywej przyrody, wymagające ciągłego odradzania się, muszą być czerpane umiejętnie, tak aby nie doprowadzić do wyniszczenia gatunków, będących przedmiotem eksploatacji człowieka. Niestety widzimy, że od dłuższego już czasu, bogactwa te, zdawało by się, równie niewyczerpalne, jak i inne, któremi nas darzy przyroda, zaczęły się katastrofalnie kurczyć, wiele gatunków zwierząt wyginęło już kompletnie, nad wieloma zaś stanęło widmo bliskiej już zagłady. I aczkolwiek coraz większe opanowanie przyrody przez człowieka, różnego rodzaju meljoracje, odwodnienia, kolosalny rozwój środków komunikacyjnych, broni myśliwskiej, zaludnienia, znaczny wzrost liczby osób uprawiających myślistwo w poszczególnych krajach i t. p. są czynnikami niesprzyjającemi egzystencji fauny na kuli ziemskiej, to jednak katastrofalny jej zanik ma swoją przyczynę nietyle w wyżej wymienionych czynnikach, ile w bezmyślnem, nie znającem hamulców tępieniu niektórych gatunków zwierząt, przeważnie dla bardzo mizernych, nie będących w żadnym stosunku do wyrządzonej szkody, zysków. Cały szereg bliskich kompletnej zagłady gatunków zwierząt, gdy spotkał się z rozumnem ustosunkowaniem i opieką ze strony człowieka, rozmnożył się ponownie i dziś odpadła obawa ich zagłady. Tak stało się z bizonami w Ameryce, łosiami i głuszcami u nas i z wieloma innemi gatunkami zwierząt w poszczególnych krajach. Przeciwnie, gdzie dróg tej opieki nie umiano znaleźć, lub nie chciano poszukać, tam sprawa wciąż kuleje, a widmo zaniku niektórych gatunków zwierząt w pewnych przynajmniej rejonach wciąż nie przestaje być wiszącą groźbą. Tak jest z kozicami i bobrami u nas, gdzie sam ustawowy zakaz strzelania i zabijania tych zwierząt okazał się niedostateczny, tak jest wciąż, choć kompletna zagłada nie wydaje się tak bliską, z ptactwem przelotnem, którego pewne gatunki są specjalnie zagrożone. Nie można mówić, że zmiany wywoływane gospodarką ludzką są tutaj przyczyną. Miejsca dla kozic w Tatrach, a dla bobrów w naszych kresowych rzekach jest dosyć, a dla przelotnego ptactwa nie brak też jeszcze miejsc lęgowych, gdzie mogłoby się

mnożyć i egzystować. Przeciwnie, raczej można powiedzieć, że znaczna ilość miejsc lęgowych nie jest należycie wyzyskana.

Powierzchnia lasów powinna się, szczególnie u nas, raczej zwiększać, wobec niemożności innego gospodarczego wyzyskania pewnego rodzaju gruntów, ogromne przestrzenie okolic górzystych i bagnistych niewątpliwie pozostaną takiemi na zawsze i śmiało można powiedzieć, że brak stanowisk większości przedstawicieli fauny nie grozi i że w każdym razie nie on jest rozstrzgającym dla sprawy ich zaniku. Wszędzie, gdzie tylko się ten zanik zaznacza, jako główną przyczynę można wskazać bezmyślną, rabunkową, nie mającą potrzebnych hamulców, eksploatację, a raczej wyniszczanie ze strony człowieka.



Wśród kniei Dawidgródeckiej. Fot. St. hr. Zamoyski.

Przykładów tego możnaby dostarczyć bardzo dużo. Przytoczę jeden, bardzo charakterystyczny. Północ europejskiego kontynentu, jak wiadomo, nie odznacza się gęstem zaludnieniem i to ostatnie bodaj jej nie grozi. Na całej tej północy jest, a przynajmniej mogłaby być, pospolitym ptakiem kaczka edredonowa. Dostarcza ona bardzo cennego puchu, zabieranego z gniazd, którem je wyściela, oraz jaj.

Chłop norweski, dla którego korzyści, jakie daje kaczka edredonowa, są bardzo poważne, umie je czerpać w sposób rozumny: zabiera puch i jaja z pierwszego zniesienia, następnego jednak już nie rusza, a przeciwnie — otacza gniazda opieką.

Gdy się młode wylęgną, chcąc im ułatwić dostanie się ze skał, na których są gniazda, do morza, znosi je w koszyku. Przeciwnie, rosyjski mużyk, pomor, z każdego spotkanego gniazda zabiera puch i jaja, te ostatnie często już zasiedziane, i o nic się nie troszczy, a już najmniej o jakąkolwiek opiekę nad kaczkami edredonowemi. Rezultat — u pobrzeży norweskich kaczek edredonowych jest bardzo dużo i są tam one pospolitemi ptakami, na całym zaś wybrzeżu rosyjskiem kaczka edredonowa jest niezmierną rzadkością. Napewno nie brak odpowiednich stanowisk jest tego przyczyną.

Wszystko streszcza się w stosunku człowieka do otaczającej go żywej przyrody, wszystko sprowadza się do wspomnianej wyżej umiejętności brania z jej bogactw tyle właśnie, ile można, nie naruszając źródła tych bogactw. Inaczej mówiąc, wszystko sprowadza się do stosunku władz i społeczeństwa do łowiectwa, będącego całokształtem zagadnień i metod, związanych z eksploatacją bogactw żywej przyrody, do tej opieki, którą poszczególne państwa otaczają łowiectwo zarówno w drodze przepisów ustawowych, jak w drodze dopuszczania pewnych tylko metod eksploatacji, zabezpieczających istnienie poszczególnych gatunków.

Jaką drogą rozwijała się ta opieka dotychczas, jakie są jej drogi rozwoju w przyszłości? Nie tak dawne są jeszcze te czasy, gdy opieki takiej wogóle nie było, jeśli zaś była, to szła w kierunku obrony praw i interesów klas uprzywilejowanych, a nie egzystencji poszczególnych gatunków zwierząt. Zresztą tej egzystencji bronić naogół nie było wówczas potrzeby. Przywileje wyższych klas i możnych, olbrzymie przestrzenie dóbr większej własności państwa i kościoła, niedostateczność ówczesnego sprzętu myśliwskiego i środków komunikacyjnych, małe zaludnienie — wszystko to stwarzało warunki, że byt poszczególnych gatunków zwierząt i ptaków nie był bynajmniej zagrożony. Jeszcze niecałe sto lat temu nie znano wogóle terminów ochronnych dla większości zwierząt i ptaków, gdy zaś z czasem zaczęto je wprowadzać, to w taki sposób, by okres polowania był możliwie najdłuższy. Ten stan w wielu jeszcze krajach europejskich, nie mówiąc już o pozaeuropejskich, trwa po dziś dzień i racjonalnosć pewnych terminów ochronnych w wielu krajach, nie wyłączając i Polski, nastręcza pole do słusznej krytyki i zastrzeżeń.

Czy jednak system ochrony fauny i zwierzostanów przy pomocy ustanawiania choćby najbardziej racjonalnych terminów ochronnych w dzisiejszych czasach jest wogóle dostateczny? Śmiało i bez wahania należy odpowiedzieć, że — nie. Czasy, gdy ustanowienie terminów ochronnych wystarczało, niestety, niepowrotnie minęły.

Znaczna i wciąż we wszystkich krajach wzrastająca liczba myśliwych, doskonałość techniczna broni myśliwskiej, łatwość i dostępność środków komunikacyjnych, sprawiły, że najzupełniej legalnie, w terminach dozwolonych, bez żadnych trudności można wyniszczyć bodaj doszczętnie zwierzostany w poszczególnych łowiskach. Jeśli się tak nie dzieje, to jedynie dlatego, że nad gospodarką łowiecką i odstrzałem czuwają gospodarze-myśliwi, pilnie baczący, aby zwierzyna miała potrzebne warunki i nie była nadmiernie wybijaną.

W każdym razie obecny stan rzeczy jest taki, że gdyby nie opieka ustaw łowieckich i gospodarzy-myśliwych w poszczególnych krajach, fauna i zwierzostany w nader krótkim czasie stanęłyby u kresu ostatecznej zagłady. Rok, dwa „swobody" w tej dziedzinie najzupełniej wystarczyłyby do osiągnięcia takiego wyniku.

Doprowadzenie jednak do tego, by polowanie i wogóle korzystanie z bogactw przyrody nietylko legalnie, t. j. w granicach ustanowionych terminów, było wykonywane, ale aby istotnie nie prowadziło do nadmiernego wyniszczenia wspomnianych bogactw, zapomocą nadzoru władz administracyjnych i policji nie jest osiągalne. Ich rola ogranicza się do nadzorowania legalności wykonywania polowania, głębsze wniknięcie w te sprawy, nadzór nad zachowaniem przez myśliwych zasad racjonalnej gospodarki łowieckiej i ochro-

ny fauny przekracza naogół możliwości tych władz, które nietylko sprawy łowieckie mają na głowie i dla których naogół sprawy te, częstokroć z konieczności, stoją na dalszym planie.

To też we wszystkich krajach, nietylko Europy, w których stosunki łowieckie zasługują na jakąkolwiek wzmiankę, od dłuższego czasu dąży się do tego, aby znaleźć drogi nietylko do formalnego osiągania zamierzeń zawartych w postanowieniach ustaw, poświęconych łowiectwu i ochronie bogactw przyrody. Drogę ku temu znaleziono we współdziałaniu władz państwowych i zorganizowanych rzesz myśliwskich. Dziś już powszechnie zrozumiano, że dla osiągnięcia celu zachowania zwierzostanów i wogóle bogactw żywej przyrody innej drogi niema.

To też z pewnemi zmianami, wypływającemi z różnicy ustrojów politycznych poszczególnych krajów, widzimy to współdziałanie władz państwowych i narodowych organizacyj łowieckich we wszystkich niemal państwach i wyniki tego współdziałania powszechnie okazały się znakomite. Wszędzie, nawet w Sowietach, jeśli wierzyć temu, co się tam pisze w pracach, poświęconych tej kwestji, widzimy nietylko zahamowanie zjawiska zaniku i zmniejszania się zwierzostanów, ale nawet poważny ich wzrost.

A jak się ta sprawa przedstawia u nas?

I u nas od kompletnej obojętności, jeśli nie wrogiego ustosunkowania się do łowiectwa, traktowanego jako zabawka możnych, dzięki celowej pracy i wysiłkom ludzi zgromadzonych w Polskim Związku Łowieckim, władze nasze, doceniając naogół te wysiłki, przeszły wkrótce do coraz bliższego współdziałania ze Związkiem, czego wspaniałe owoce zbieraliśmy na wystawie 1937 r. w Berlinie.

Widzieliśmy P. P. Ministrów Rolnictwa biorących osobiście udział w obradach nad projektem ustawy łowieckiej, bądź w zebraniach Międzynarodowej Rady Łowieckiej, widzieliśmy wielu P. P. Wojewodów biorących udział w Walnych Zgromadzeniach Związku, słyszeliśmy wielokrotnie przemówienia, do których z punktu widzenia naszego rozumienia łowiectwa nie można byłoby nic dodać...

A jednak na pytanie czy stosunek naszych władz do potrzeb łowiectwa jest zadowalający, niestety, musimy odpowiedzieć negatywnie.

Przedewszystkiem całe to zrozumienie potrzeb i stanowiska łowiectwa ma w pewnej mierze charakter odświętny i występuje w momentach specjalnie ważnych, częstokroć mających względy propagandowe na uwadze, w życiu zaś codziennem to ustosunkowanie pozostawia, niestety, jeszcze wiele do życzenia.

Składa się na to dużo przyczyn. Przedewszystkiem oczywiście ta, że w całokształcie spraw państwowych sprawy łowieckie dla przedstawicieli naszych władz państwowych stoją z konieczności na dalszym planie. Druga, to ta, że podobnie jak i w wielu innych dziedzinach, sprawy związane z łowiectwem rozdzielone są między kilka Ministerstw, przyczem dla wielu z nich mają bardzo podrzędne znaczenie i trudno oczekiwać, aby przedstawiciele tych Ministerstw poprostu posiadali dla nich potrzebne zrozumienie. I aczkolwiek sprawy łowieckie w zasadzie należą u nas do resortu Ministra Rolnictwa, to jednak sprawy wydawania pozwoleń na broń i kart łowieckich należą do resortu Ministra Spraw Wewnętrznych, podobnie jak i sprawy związane z opodatkowaniem różnych dziedzin złączonych z łowiectwem na podstawie ustawy o tymczasowem uregulowaniu finansów komunalnych (sprawy podatku od wykonywania polowania, od broni myśliwskiej, od psów) oraz sprawy stowarzyszeń. Sprawy związane z ochroną przyrody należą do resortu Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, wreszcie sprawy pobierania opłat stemplowych od kart łowieckich i pozwoleń na broń należą do resortu Ministra Skarbu.

Przedstawiciele tych władz mają zrozumiałą tendencję do podchodzenia do spraw łowieckich tylko z punktu widzenia ciasno rozumianych interesów własnego resortu, z pominięciem względów, dotyczących interesów łowiectwa jako całości.

Drugą niemniej ważną przyczyną jest nie dający się wyplenić i tkwiący uporczywie pogląd, że łowiectwo to zabawka możnych, to zbytek mogący stanowić przedewszystkiem źródło mniejszego lub większego opodatkowania, względnie ciągnięcia z uprawiających go zysków. Polowanie — to droga zabawka, a myśliwi — wszystko mogą zapłacić.



Pogromca i zwyciężony. Fot. J. Hołyński.

Zapoznawany jest, kiedy to komu wydaje się dogodnem, moment i interes publiczny związany z łowiectwem, wysuwany jest natomiast moment prywatnoprawny. Przykładów takiego traktowania możnaby dostarczyć dużo. Przytoczę najjaskrawsze. Niedawno Polski Związek Łowiecki wystąpił z memorjałem, aby podania o wydawanie biletów na broń dla straży łowieckiej, jako świadectw wydawanych w interesie publicznym, zgodnie zresztą z postanowieniami ustawy stemplowej, wolne były od opłat stemplowych.

Odpowiedź była krótka — że na taką interpretację Ministerstwo Skarbu nie może się zgodzić, gdyż podzielenie stanowiska Związku pociągnęłoby znaczne straty dla Skarbu Państwa. Słowem został natychmiast wysunięty moment fiskalny, z zupełnem zapoznaniem, że straż łowiecka utrzymywana jest w znacznym stopniu w interesie publicznym, że jej egzystencji zawdzięczamy utrzymanie dobra publicznego, jakiem są zwierzostany i fauna kraju, że na jej utrzymanie właściciele i dzierżawcy terenów łowieckich ponoszą ogromne koszty. Rozwleczenie spraw dotyczących łowiectwa pomiędzy kilka resortów znalazło tutaj swój jaskrawy wyraz.

Drugim jaskrawym przykładem są dotychczas nie-

uwieńczone pomyślnym wynikiem zabiegi o ulgi kolejowe dla myśliwych, wzorem tego jak są one udzielane narciarstwu i przedstawicielom innych sportów. Niedostateczne okazały się argumenty, że myśliwi, szczególnie zjednoczeni w Polskim Związku Łowieckim, dają dostateczne gwarancje, że przywilejów swych, jak to niestety aż zbyt często dzieje się z rzekomymi przedstawicielami innych sportów, nie będą nadużywać, że myśliwi ożywiają ruch kolejowy do takich właśnie stacyj, które przez zwykłą publiczność są bardzo mało uczęszczane, że pozostawiają miejscowej ludności bardzo znaczne środki (jedno, dwudniowe polowanie większego kółka w 15 — 20 strzelb pozostawia w rękach miejscowej ludności za sam tylko udział w nagance i za dostarczone podwody koło 800 złotych), że wreszcie udzielenie takich ulg leży w interesie Skarbu Państwa, w szczególności Zarządu Lasów Państwowych, które odleglejszych terenów nie mogą wydzierżawiać wobec niepomiernie wysokich kosztów przejazdu. — Odpowiedź krótka: myśliwi są naogół dosyć zamożni, aby módz opłacać pełne koszty przejazdu.



Bronna Góra. Zachodzenie na stanowiska. Fot. Inż. J. Ficki.

Jednocześnie pod hasłem „wakacje na Wileńszczyźnie", dla dostarczenia zarobków miejscowej ludności, daje się bardzo znaczne ulgi w wyznaczonym przez naszą biurokrację, tym razem kolejową, czasie każdemu, kto chce tam się udać. To, że my myśliwi w każdym, nietylko wakacyjnym czasie dostarczamy tej ludności zarobków w nieporównanie większym stopniu, niż przeciętny letnik, dysponentom różnych ulg kolejowych nie chce jakoś przyjść do głowy.

Stanowisko takie jest źródłem poważnego rozgoryczenia pośród myśliwych. Przedstawiony bowiem obraz stanu sprawy ulg kolejowych dla myśliwych ma zagranicą swe wymowne przeciwstawienie. Znam członka jednego z większych kółek, Holendra, stale mieszkającego w Hadze. Przyjazd dla niego do Polski tam i z powrotem celem wzięcia udziału w kilku polowaniach, kosztuje... sto złotych. Ale pan ten za dwadzieścia złotych ma dwuletni paszport zagraniczny do wszystkich krajów z nieograniczoną ilością przejazdów, a przez całe Niemcy jedzie z 60% ulgą turystyczną, dawaną mu automatycznie bez żadnych zabiegów i starań, z mocy samego faktu przejazdu transito przez Niemcy.

W innych krajach wycieczki myśliwskie, słusznie upodobniane do ruchu turystycznego, korzystają również z poważnych zniżek kolejowych.

Nie pomawiam bynajmniej o złą wolę tych przedstawicieli naszej biurokracji, o stanowisko których rozbijają się zabiegi o różne ulgi, jakich słusznie domaga się łowiectwo. Nie można przytem nie zauważyć, że w istocie nie są to żadne ulgi i przywileje, a żądanie zwolnienia od różnych ciężarów, któremi specjalnie obarcza się u nas łowiectwo i myśliwych.

Istotną przyczyną nieuwzględniania przez naszą biurokrację w życiu codziennem słusznych, w naszem pojęciu, postulatów łowiectwa jest niezrozumienie co łowiectwo daje i może dać państwu i społeczeństwu, i czego dla spełnienia swych zadań od niego wymagać musi.

Najważniejszem, co łowiectwo może dać państwu i społeczeństwu, jest ochrona fauny i zwierzostanów. Spełnienie tego obowiązku nie jest bynajmniej łatwe. Koszty ochrony i utrzymania terenów łowieckich (urządzania pólek hodowlanych, podkarmianie zwierzyny i t. p.) wynoszą około 50 groszy na hektar.

Pomnóżmy to przez obszar terenów posiadanych lub dzierżawionych przez myśliwych w całem państwie, a pokaże się jak olbrzymie kwoty wydawane są na ten cel przez myśliwych. Nie można twierdzić, że myśliwi robią to tylko we własnym interesie, dla swojej przyjemności. Niewątpliwie i to również ma miejsce, ale robią to przedewszystkiem z zamiłowania do przyrody i obcowania z nią, nie licząc się z wydatkami, a korzyści, jakie stąd osiągają, nie stoją w żadnym stosunku do czynionych wydatków. Wszak sztuka zwierzyny na terenach kresowych kalkuluje się, nie licząc kosztów wyjazdu, nabojów, naganki i t. p., loco las około 300 złotych, a zając pod Warszawą również loco las czy pole 20 złotych!

Z tych nakładów korzysta, a w każdym razie korzystać może, i pozostała niełowna fauna, która na olbrzymiej większości terenów łowieckich, będących w dyspozycji prawidłowych myśliwych, ma całkowitą opiekę i spokój.

Ale pozostawmy na stronie sprawę wydatków i motywów, dla których są ponoszone.

Faktem jest, że już dzisiaj wszyscy prawidłowi myśliwi zrzeszeni w Polskim Związku Łowieckim oddawna wydatki te ponoszą i zwierzostany i faunę kraju własnemi wysiłkami i kosztem utrzymują. Jak zaś z tego zadania wobec państwa i społeczeństwa dotychczas się wywiązywali, świadczą wyniki na wystawie łowieckiej w Berlinie, no i utrzymywane przez nich rewiry łowieckie, będące w istocie prawdziwemi parkami ochrony przyrody.

Nigdy i nigdzie państwo nie będzie w stanie tych kolosalnych wydatków ponosić, ponosić je winni myśliwi danego kraju, od ponoszenia tych ciężarów prawdziwi myśliwi nigdzie się nie uchylają, przeciwnie, uchylanie się od ich ponoszenia stanowi, w ich rozumieniu, najistotniejsze kryterjum do wyłączenia ze społeczności łowieckiej takich osobników.

Drugą rzeczą, którą prawidłowe łowiectwo może dać państwu i społeczeństwu, to pewne oblicze w zakresie stosunków łowieckich i ochrony przyrody, które cechują w danem państwie panujące stosunki w tych dziedzinach. Te stosunki łowieckie, to całokształt przepisów dotyczących łowiectwa, lub tak czy inaczej z nim związanych metod hodowlanych i obyczajów myśliwskich, skierowanych razem na utrzymanie fauny i zwierzostanu. Tę dziedzinę może tworzyć tylko samo należycie zorganizowane społeczeństwo łowieckie danego kraju, państwo zaś przy pomocy odpowiednich przepisów ustawowych i zarządzeń władz

może stworzenie należytych stosunków łowieckich tylko popierać.

Te należyte stosunki łowieckie, to co w skróceniu nazywam obliczem łowieckiem danego kraju, mają kolosalne znaczenie propagandowe, wzbudzają wszędzie szacunek dla kraju, który ma się czem w dziedzinie łowieckiej pochwalić, i są legitymacją na stanowisko kulturalne pośród narodów świata. Narody i państwa, tolerujące u siebie wyniszczanie zwierzostanu i fauny, a co gorsza np. przelotnego ptactwa, utrudniające jego zachowanie innym narodom, są z tego tytułu bardzo surowo sądzone.

Nasze stosunki łowieckie, szczególnie po sukcesach berlińskich, budzą niewątpliwie zainteresowanie innych narodów. W tej również dziedzinie, jeśli nie ma nas spotkać kompromitacja, a rozwój łowiectwa nie ma się u nas załamać, musimy się wykazać poważnym dorobkiem, mogącym się stać przykładem dla innych. Dużo w kierunku stworzenia właściwych stosunków łowieckich zostało u nas zrobione, daleko nam jednak do tego, co być powinno.

Trzecią wreszcie rzeczą, którą może dać łowiectwo państwu, to duże korzyści gospodarcze i znaczną wymianę usług, tak zwany obrót cywilny. Łowiectwo daje zatrudnienie i zarobek bardzo znacznej ilości osób bądź bezpośrednio w postaci pełnienia różnych funkcyj związanych z hodowlą i ochroną zwierzyny, bądź pośrednio w postaci uruchomiania różnych przemysłów związanych z łowiectwem: rusznikarskiego, amunicyjnego i wielu innych, połączonych z wyrobem różnych przedmiotów potrzebnych dla uprawiania łowiectwa. Poza dziczyzną potrzebną do zaspokojenia bezpośredniej konsumcji lub na wywóz, łowiectwo dostarcza całą masę różnych surowców dla przemysłu kapeluszniczego, szczotkarskiego i wielu innych.

Rozwodzić się nad tym tematem niema potrzeby ani miejsca, temat ten sam jeden starczyłby dla dużej pracy, dziś sprawa ta jest należycie wyświetlona w Niemczech i odpowiednie dane na ten temat były podawane w „Łowcu Polskim". Niewątpliwie, choć w mniejszej mierze, w stosunkach gospodarczych Polski łowiectwo ma swoje poważne znaczenie.

Takie są najistotniejsze i w najważniejszych zarysach wartości, jakie daje łowiectwo państwu i społeczeństwu.

Aby jednak zadania swe spełnić, stawia ono ze swej strony wymagania, które muszą być zaspokojone. Przedewszystkiem, ponosząc tak ogromne ciężary w kierunku utrzymania fauny i zwierzostanów, rozwój łowiectwa wymaga, aby nie było ono przedmiotem jakiegokolwiek opodatkowania i ciężarów, poza racjonalnie ustanowionemi opłatami od kart łowieckich i pozwoleń na broń. Wszelkie obciążanie podatkami łowiectwa jest przysłowiowem ściąganiem dwóch skór z jednego wołu, prowadzącem prostą drogą do zniechęcania do uprawiania łowiectwa, które inaczej jak dobrowolną ofiarnością kół myśliwskich w żadnem państwie utrzymane być nie może. Kto takie ofiary dla utrzymania fauny i zwierzostanu ponosi, ma prawo wymagać, żeby mu za to nie kazano jeszcze podatków płacić. Wszelkie więc podatki od wykonywania polowania, broni myśliwskiej, jako przedmiotu zbytku i t. p., powinny być bezwzględnie zniesione, tembardziej, że ogólne wpływy z tych podatków nie są i nie mogą być znaczne, zaś istnienie tego rodzaju podatków samo przez się jest źródłem różnych utrudnień i sporów z władzami, nie przyczyniających się do rozwoju łowiectwa.

Następnem najważniejszem wymaganiem, zaspokojenie którego jest konieczne dla rozwoju łowiectwa, jest przymus organizacyjny dla wszystkich myśliwych danego kraju. Jak wspomniano na wstępie niniejszego artykułu, zwierzostany i fauna w obecnych warunkach mogą być w legalny sposób wyniszczone w nader krótkim czasie. Że się tak nie dzieje, jest to zasługą prawdziwych myśliwych, otaczających należytą opieką posiadane przez siebie rewiry łowieckie i kontentujących się umiarkowanym i należycie wypośrodkowanym i we właściwej porze dokonywanym odstrzałem.



Hr. Dzieduszycki z rysiem, ubitym w Rytrze 4.I.1938 r.

Współczesny myśliwy nie może być osobnikiem puszczonym samopas, na podstawie upoważnienia władzy, do wyniszczania w terminach dozwolonych, w sposób nie dający się częstokroć naprawić, bogactwa narodowego, jakiem są jego zwierzostany i fauna. Ze swych uprawnień musi korzystać oględnie i nie nadużywać społecznego zaufania, jakiem go obdarzono, dając mu kartę łowiecką. Typy legalnych kłusowników wydzierżawiających od włościan tereny, a potem po roku, po wybiciu zwierzyny, porzucających je, by wydzierżawić nowy teren w tym samym celu, lub typy „myśliwych" uniemożliwiających swym sąsiadom jakiekolwiek poczynania hodowlane i wybijających bez skrupułów każdego kozła czy bażanta, który na chwilkę tylko przejdzie na ich teren, powinny przestać istnieć, a przedewszystkiem powinno być im uniemożliwione istnienie. Aby ten cel został osiągnięty, aby przez działalność szkodliwych jednostek, nie poczuwających się do obowiązku ponoszenia jakichkolwiek ciężarów dla utrzymania łowiectwa, nie była udaremnianą i utrudnianą działalność prawdziwych myśliwych, lojalnie i z szacunkiem dla państwowego interesu i cudzego prawa i pracy wykonywujących swe uprawnienia, konieczne jest rozciągnięcie nad myśliwymi daleko głębszej i skuteczniejszej kontroli niż ta, która wykonywaną jest obecnie i polega na sprawdzaniu (jak rzadko w rzeczywistości praktykowanem) kart łowieckich. Kontrola taka może być skutecznie wykonywaną jedynie przez współdziałającą z władzami i będącą pod ich nadzorem narodową organizację łowiecką. Władze same zbyt wiele mają na głowie, by wiedzieć, czy pan X lub Y lojalnie korzysta z posia-

danych przez siebie uprawnień łowieckich. Organizacje takie istnieją we wszystkich krajach, gdzie istnieje kultura łowiecka i wszędzie, gdzie współdziałanie ich z władzami jest należyte, stosunki łowieckie stoją na należytym poziomie. Bez takiej organizacji i bez takiego współdziałania z władzami zwierzostany i fauna dotychczasowemi środkami we współczesnych warunkach nie mogą być uchronione od zagłady.

Trzymając w ręku przy pomocy narodowej organizacji legalnych myśliwych, władze nie mogą tolerować rozwydrzonego i lekceważącego sobie wszystko kłusownictwa. Muszą posiadać pewną politykę karną, prowadzącą do tego, że przekroczenia kłusownicze będą wyjątkiem a nie regułą, uniemożliwiającą jakiekolwiek poczynania w kierunku ochrony i utrzymania zwierzostanów. Musimy sobie otwarcie powiedzieć, że takiej polityki karnej, jeśli chodzi o całą Polskę, u nas niema, że w wielu okolicach kłusownicy są rozwydrzeni do ostatnich granic i że gospodarka łowiecka w takich okolicach jest najzupełniej uniemożliwiona.



Knieja poleska zimą. Fot. J. Strzelecki

Pochodzi to stąd, że każde starostwo ma swoje ustosunkowanie do przekroczeń łowieckich, niektóre uważają takie przekroczenia, jak wogóle całą ustawę łowiecką, za przekroczenia i ustawę drugiego rzędu, której postanowienia można honorować albo nie, a przekroczenia której można karać karami nie będącemi żadnym hamulcem dla popełniających je kłusowników, drwiących sobie nieraz otwarcie z kar na nich nakładanych. Często też, jako motyw, wysuwa się względy socjalne, nędzę delikwenta i t. p. Takiego traktowania przekroczeń łowieckich nie można nazwać inaczej, jak pewnego rodzaju samowolą. Ustawodawstwo nasze nie zna ustaw i przekroczeń pierwszego i drugiego rzędu, a ci co ze względów socjalnych tolerują lub w niedostateczny sposób karzą przekroczenia łowieckie, niech wiedzą, że w ten sposób usuwają grunt pod nogami tych, co lojalnie pracują dla łowiectwa w najrozmaitszych dziedzinach, zrozumiałe jest bowiem, że gdyby zjawisko takiego tolerowania przestępstw łowieckich stało się powszechnem, to wynikiem jego stałoby się również powszechne zniechęcenie do ponoszenia ciężarów związanych z prowadzeniem gospodarki łowieckiej, przez wszystkich tych, którzy te ciężary dobrowolnie ponoszą. Cały mozolnie wznoszony i podtrzymywany gmach utrzymania zwierzostanów i fauny runąłby, grzebiąc pod swemi gruzami te wszystkie walory, jakie prawidłowo prowadzone gospodarstwo łowieckie daje państwu i społeczeństwu. Niech więc ci, co w imię względów socjalnych zaniedbują prowadzenie jakiejkolwiek polityki karnej względem przestępstw łowieckich, pamiętają dobrze, z czyjej kieszeni w istocie to robią. Łowiectwo żywi setki tysięcy, a może i więcej ludzi, ale aby to zadanie mogło spełniać, musi mieć zapewnione konieczne warunki egzystencji.

Wreszcie aby stworzyć pewne oblicze łowieckie danego kraju, aby podnieść jego kulturę w tej dziedzinie, konieczne jest utrzymanie specjalnej prasy łowieckiej i specjalnego fachowego piśmiennictwa, skierowanych ku temu, aby to, co stanowi podstawy wiedzy łowieckiej, potrzeby łowiectwa i konieczne warunki jego rozwoju, znalazło powszechne zrozumienie i uznanie przedewszystkiem w kołach samych myśliwych, a w pewnej mierze całego społeczeństwa. Na te cele, zwane przez nas ogólnemi celami łowiectwa, inne państwa, a przedewszystkiem przodujące w tej dziedzinie Niemcy, wydają bardzo znaczne sumy, przekraczające 4 miljony marek rocznie, wprowadzając ponadto dla myśliwych niemieckich obowiązek abonowania jednego z uznanych przez władze czasopism łowieckich. Cel tego jest najzupełniej zrozumiały. Nie można wszystkiego osiągnąć przez nakazy i zakazy władz i represje karne.

Postanowienia i zamierzenia ustaw muszą być znane i rozumiane przez ogół obywateli i dobrowolnie przezeń stosowane. Wyłamanie się z pod postanowień ustaw musi być, jak i wynikające stąd represje, wyjątkiem. Nie można wszystkich obywateli danego państwa za przekroczenia w pewnej dziedzinie karać. Z takiemi stosunkami żadna władza nie da sobie rady.

Aby cel dobrowolnego stosowania się do postanowień i zamierzeń ustawy w dostatecznej mierze osiągnąć, potrzebną jest, jak wspomniano wyżej, odpowiednia propaganda, przeprowadzona przez prasę, w danym razie łowiecką i wydawnictwa fachowe. To wszystko jednak wymaga pewnych środków, osiąganych różną drogą, jak w Niemczech w drodze przymusu organizacyjnego i abonowania pewnych czasopism. U nas to wszystko pozostawione jest inicjatywie prywatnej, borykającej się jednak wobec powszechnego niezrozumienia i niskiego poziomu kulturalnego ogółu myśliwych z bardzo wielkiemi trudnościami. To, że mamy wogóle czasopisma łowieckie i pewne, choć bardzo niedostatecznie fachowe, piśmiennictwo łowieckie, to zasługa kulturalnych myśliwych, zrzeszonych w Polskim Związku Łowieckim. Jakby się sprawa przedstawiała, gdyby tej prasy i tych wysiłków nie było? Jakie byłoby oblicze Polski wobec kulturalnego świata?

Ale choć to piśmiennictwo i te czasopisma istnieją i choć dają sobie radę z trudnościami finansowemi, trzeba otwarcie powiedzieć, że zadania swego wobec społeczeństwa myśliwskiego całkowicie nie spełniają. Pozostawione własnemu przemysłowi, są one z natury rzeczy za drogie i obsługują tylko zamożniejszą i kulturalniejszą część myśliwych, a nie, jak to się dzieje w innych krajach, cały ogół. Jeszcze gorzej dzieje się z wydawnictwami fachowemi, które jak dotychczas w naszych stosunkach z reguły są deficytowe, niezależnie od walorów, jakie reprezentują. Nie znaczy to, aby nie miały być wydawane. Rozpowszechniania pewnych potrzebnych wiadomości z dziedziny hodowlanej i innych rozwój łowiectwa bezwzględnie wymaga. Ktoś musi dawać na to pewne środki. Kto? Związek Łowiecki tych środków nie posiada, a co może, to w tej dziedzinie on jeden robi. Jest to jednak niedostateczne, gdyż niedostatecznemi są środki, któ-

remi na ten cel Związek rozporządza. Musi więc a przynajmniej powinno robić to państwo, tembardziej że z opłat pobieranych z art. 34 ustawy łowieckiej posiada na ten cel dostarczane środki. U nas jednak chciałoby się wszystko mieć i grosza na nic nie wydać. Chciałoby się, żeby istniało godnie reprezentujące Polskę łowiectwo, ale środków potrzebnych do jego rozwoju na nie się nie przeznacza. To samo dzieje się z innemi wydatkami potrzebnemi dla podtrzymania rozwoju łowiectwa: z wydatkami na urządzanie wystaw, udział w międzynarodowych kongresach, w Międzynarodowej Radzie Łowieckiej i t. p. Odpowiednie środki muszą być na te cele przeznaczone. Nie można zbierać, nie ponosząc kosztów uprawy i obsiewu gruntu.

A jaki jest stosunek do tych wszystkich kwestyj społeczeństwa, a w pierwszym rzędzie szerokiego ogółu myśliwych? Należy z przykrością stwierdzić, że ogół myśliwych o tych wszystkich sprawach nie wie i nie chce wiedzieć. Jest on etatystą najgorszego gatunku, jaki sobie można wyobrazić. Wszelkie troski o rozwój łowiectwa pozostawia państwu, sam zaś chciałby tylko polować najtańszym kosztem i bez jakichkolwiek wysiłków, przedewszystkiem finansowych, ze swej strony. Jeszcze na naboje wydać pieniądze można, na co innego nie! Samo polowanie rozumie, jako bezpośrednie korzystanie z darów przyrody, im mniej ograniczone, tem lepiej. Zwierzyna jest od tego, żeby się sama rozmnażała, w najgorszym razie, aby przyszła z rewiru sąsiada. O jej zachowanie i związane z tem kwestje nie potrzeba się troszczyć.

Na szczęście mentalność taka nie jest powszechna. Istnieje dziś już zjednoczona w Polskim Związku Łowieckim blisko dwunastotysięczna armja myśliwych, rozumiejąca, że łowiectwo polskie samo z siebie nie powstanie, że trzeba dla niego pracować i ponosić ofiary i zdecydowana wznieść je na najwyższe szczyty. Dla łowiectwa polskiego tak powszechne dziś hasło podniesienia wzwyż nie jest nowem. Niemal od chwili powstania państwa Polskiego wybitne i ofiarne jednostki podjęły się zadania stworzenia łowiectwa polskiego i postawienia go na najwyższym poziomie. Wyniki tej spokojnej, świadomej i nie szukającej rozgłosu pracy są dziś przed oczami wszystkich, a dobitny wyraz tych wyników, to sukces wystawy Berlińskiej. W pracy tej nie zamierzamy ustawać. Dalszy jednak postęp tej pracy zależny jest od zrozumienia przez władze i społeczeństwo przedstawionej sytuacji, w której znajduje się współczesne łowiectwo, i wprowadzenie w życie wysuniętych postulatów. Władzom i społeczeństwu możemy bez wstydu oświadczyć: owocami naszej pracy dowiedliśmy, że na właściwej jesteśmy drodze, uwzględnijcie nasze postulaty, a nie takie jeszcze pokażemy wam wyniki. W kulturalnym wyścigu narodów o utrzymanie zwierzostanów i fauny w dalszym ciągu chcemy zdobywać dla Polski nie ostatnie miejsce!



Myszkujący lis. Fot. W. Puchalski.

WALENTY GARCZYŃSKI.

Mikita.

Na białej polanie , na śnieżnym całunie,
na zaspach puszystych cień rudy majaczy.
Mikita! Ostrożnie dynduje i sunie
ten mistrz pośród rodu mysiego zjadaczy.

Wśród gęstych zarośli, pod krzakiem jałowca,
chytrzejszy od lisa, zaczaił się łowca
i zamarł w bezruchu
i patrzy i słucha...

Mikita dynduje, myszkuje, przystaje
i węszy starannie, lecz wszędzie tak pusto!
Wtem gdzieś na polanie rozlega się skraju
cichutkie piszczenie: to mysz pewnie tłusta!

Więc chyłkiem się skrada, głód ściska mu trzewia.
Lis idzie na wab! Nie przeczuwa i nie wie,
że zguba go czeka...
...Śmierć z ręki człowieka!

Szeleszcząc zdradliwie, kołyszą się chwasty.
Z oddechem zapartym Mikita się zbliża,
ostrożnie swój pyszczek wysuwa śpiczasty,
lecz spokój beztroski panuje w rewirze,
więc śmiało na łowy! Dość tego czekania!
Wtem huk się roztoczył po śnieżnej polanie...
Załkały drzew szczyty.
— o śmierci Mikity!...

W. L. von FALKENAU



Kozioł górski. Stanisław Komaszewski.

A F R Y K A

PAMIĘCI MATKI

ZIEMIA SFINKSA.

W słońcu, wśród złotych piasków nad Nilem, z rozkazu Faraona, jak olbrzym-pies na straży, jak lew przykuty u progu pustyni, leży Sfinks.

Kamiennemi oczami patrzy w nieskończoność i strzeże tajemnic Świętej Rzeki, którą, z głębi Czarnego Lądu, życie płynie. Pięćdziesiąt wieków minęło! — pięć tysięcy lat! — wieczność prawie, a Sfinks leży nad Nilem i czuwa!

Narody, religje, trony rodziły się w jego oczach i umierały, — on jeden, symbol życia nieodgadniony, jak życie samo odwieczny, przetrwał i — patrzy, jak patrzył na świat za Faraonów.

Przez długie dni swego istnienia widział Babilon, Rzym, Kartaginę; widział jak powstały i jak poszły w proch. — On jeden, granitowy, niepożyty, przetrwał, dochował tajemnicy i wiecznie ten sam, spogląda na pokolenia ludzkiego mrowia, snujące się u jego stóp.

*

Dragomani mówią, że w jasne, pogodne noce Sfinks uśmiecha się niekiedy. Czy to rozmowa może dwóch przyjaciół? — Wieczny podróżnik — miesiąc opowiada druhowi swemu na ziemi, co widział, wędrując nad światem.

Wszystko jak było; od początku świata, od dnia narodzin Sfinksa, na ziemi nie zmieniło się nic. — Po dawnemu ludzie, plemię Kaina przeklęte, nienawidzą się, gnębią słabszego, krew przelewają dla złota i krzyżują swoich proroków. — Boją się nicości, więc roją o duszy nieśmiertelnej i żyć pragnęliby wiecznie. Sfinks milczy, rozważa i nasłuchuje, jak u jego stóp, wśród złomów skały, skomlą i gryzą się szakale.

— Ludzie! — ich nadzieje, ich rozczarowania, ich istnienia całe — ludzie nieśmiertelni!

Miesiąc na niebie opowiada, a na ziemi Sfinks uśmiecha się szyderczo. On widział ich tylu, największych mocarzy świata: Ramzesów, Aleksandra, Cezara, — dynastje całe! Na jego kamiennem czole, hodowane w słońcu wolności, a karmione chwałą, wypoczywały orły wielkiego cesarza, zanim porwały się do lotu nad światem i zginęły w śniegach ciemnej północy...

Minęło! — minęło wszystko, jak oka jedno mgnienie, jak krótki sen jednej nocy!

Dla niego, dla Sfinksa, wobec nieskończoności, która go zrodziła, były to chwile tylko, a najmożniejsi tej ziemi, ziarnkami piasku, rzucanemi wichrem w pustyni. Wiecznym dla Sfinksa czas jest tylko i tajemnica życia; nieśmiertelnem — słońce, gwiazdy i płynąca cicho Święta Rzeka.

Słucha Sfinks, co mówi miesiąc; milczy, słucha jak skomlą szakale i śmieje się drwiąco. A kiedy zaświta dzień, kiedy nad Arabją pokraśnieje niebo, a nad Nilem ciągnąć już poczną ibisy, kiedy życie i siła tej ziemi, fellah-nędzarz staje do pracy, — Sfinks kamienieje znowu i — znów martwy, znów obojętny — strzeże rzeki, która życie daje i która niesie na falach swych tajemnice krajów dalekich, bajecznych, zaklętych gdzieś w głębiach Czarnego Lądu, w głębiach Ziemi Słońca, w głębiach Afryki.

*

Jak krople, spadając w ocean nieskończoności, wieki płynęły za wiekami. Afrykański Sfinks czuwał i, grzejąc się w płowych żarach słońca, śmiercią groził zuchwalcom, przychodzącym zdzierać zasłony, za któremi niedostępna, nietknięta, jak sam Sfinks ta-

jemnicza, niby zaklęta królewna pełna czaru i ponęt, spała Afryka.

Na jej wybrzeżach, nad morzami, mieszkały niegdyś wielkie narody i kwitnęły państwa, zadziwiające cywilizacją świat cały. Wiedziano, że ciągnęły się za niemi niezmierzone, martwe pustynie, na których, od żaru słońca, ginęło życie, a na wędrowca czekała śmierć. Głębiej zaś, — sięgano tylko baśniami i wyobraźnią. Odgrodzone pustynią, gdzieś w sercu Afryki, skąd wypływał Nil, pogrążone w mroku odwiecznej tajemnicy, leżały w otchłaniach Czarnego Lądu ziemie niedostępne, zaczarowane.

Z bajecznych tych krain dostarczano na rynki świata złoto, pióra strusie, kość słoniową, drogie kamienie, i sprowadzano nieznane nikomu dzikie zwierzęta, wypuszczane w Rzymie na arenach. Stamtąd, od wieków, tajnemi szlakami, po manowcach, zlewanych łzami i krwią, pędzono na sprzedaż ludzkie bydło, „żywy heban", tysiące i tysiące chwytanych we wnętrzu czarnych niewolników.

Żeglarze, którym wypadała droga wzdłuż brzegów dziwnej tej ziemi, opowiadali, że co roku, o tej samej porze, Afryka pali się cała. Tacy, których burze wyrzuciły na brzegi Czarnego Lądu, nie powracali nigdy; pożerał ich Sfinks, a kości bieliło słońce.

Tak minęła starożytność, potężne dzierżawy afrykańskie upadły; w gruzy rozsypała się wielkość Egiptu, Rzymu i Kartaginy. — Co ocalało, startem zostało w wiekach średnich w pogromach Islamu, które utopiły we krwi wszystko, co nie od Proroka brało początek. Ogniem i mieczem odcięto Afrykę od reszty świata.

Odtąd Czarny Ląd zamkniętym został na stulecia całe, a pokrywająca go od stworzenia świata tajemnica stała się głębszą jeszcze i groźniejszą. Białego czekała tam zagłada, — bo fanatyczni, okrutni muzułmanie bronili zajadle szlaków, wiodących do skarbów, strzeżonych przez Sfinksa w głębiach Afryki i nie wpuszczali tam nikogo.

JAK W BAJCE.

Opisy pierwszych podróży afrykańskich świat czytał ze zdumieniem i nie wierzył. Opowiadania brzmiały nazbyt bajecznie, a Afryka, tajemniczy Czarny Ląd, leżała daleko.

Według pojęć ówczesnych, niezbyt dawnych nawet, był to inny, straszny świat, niby piekło na ziemi. Dobrowolnie szli tam tacy jedynie, którzy nic już w domu nie mieli do stracenia.

Opowiadaniom powracających z podobnych wypraw nie dawano wiary, bo najbujniejsza wyobraźnia nie stwarza większych dziwów, niż to wszystko, co widzieli w Afryce pierwsi podróżnicy.

Jak u wróżki, jak w krainie czarów, na Czarnym Lądzie sprawdzać się miały bajki, opowiadane dzieciom. Wracając, podróżni zapewniali, że widzieli tam złoto, leżące jak piasek, na powierzchni ziemi, a w głębi odwiecznych, śpiących lasów, w których nie postała przedtem noga białego, wsie całe grodzone płotami z kości słoniowej.

W niedostępnych, tajemniczych krajach wnętrza Afryki mieszkały, jakoby, plemiona łagodnych, dobrotliwych wielkoludów i, tuż obok, plemiona wszędy obecnych, wszystko widzących, a niewidzialnych, jak duchy, złośliwych karłów leśnych. Obok ludożerców i szczepów całych, które prócz mięsa i krwi innego pożywienia nie znały, na Czarnym Lądzie mieszkały plemiona spokojnych, łagodnych rolników i pasterzy.

Opowiadano nawet o ludziach prawdziwych, mieszkających na drzewach, na wodzie, w jaskiniach, albo w norach ziemnych i wreszcie, lecz baśniom takim nie wierzył nikt, o ludziach z dziobami zamiast ust i z rogami na głowach *).

A jednak baśnie te powtarzali uporczywie najwiarogodniejsi podróżnicy...

W pochodach swych przez gorącą, słoneczną Afryką wędrowcy spotykali pokryte piaskiem i głazami wielkie, martwe pustynie bez granic, na których od braku wody i od upału ostać się nie mógł nawet nikczemny owad, nawet nędzna roślina, i tuż obok niebotyczne góry, na których, pod równikiem, leżał u szczytów wieczny śnieg.

Z gór tych, szumiąc kaskadami po zboczach, spływały zimne, kryształowe potoki i strumienie. Słońce jednak i piasek wypijały wodę, bo powietrze tam było, jak w rozpalonym piecu, a słońce nad pustynią stało na niebie wprost nad głowami i zamieniało w popiół wszystko, co żywe.

Gdzieindziej, wśród skał ze szczerej soli, drzemały w słońcu złowrogie jeziora, które nie gasiły pragnienia. Od jezior tych wiało śmiercią i nie mieszkała w nich ani ryba, ani gad.

Tam za to, gdzie była słodka woda, gdzie promienie słońca nie wypijały resztek wilgoci i gdzie dosięgał jej zbawczy, życiodajny wpływ, nad brzegami rzek i jezior, które zalały jak morza środek Afryki, czekał na podróżnika raj ziemski.

Nieznane białemu krzewy i drzewa rosły tam, okryte kwiatem i owocami o przedziwnym smaku. Z palm, co śmigłemi wierzchołkami zamiatały chmury na niebie, czarni krajowcy, wspinając się po pniach, jak małpy, zrywali słodkie daktyle, kapustę i wielkie orzechy, pełne mleka. Inne drzewa, bez trudu, dawały chleb, ser, oliwę, a nawet wino; nawet świeżej, chłodnej wody dostarczała ljana, zwieszająca się z drzewa, jak wąż.

Jak w bajce!

Lasy, haszcze i niezmierzone równiny stepów tętniły wrzącem, bujnem życiem. W kolczastych gąszczach cienistych, wonnych, leśne pszczoły, brzęcząc, zbierały miód, a wyżej, w koronach drzew, migały barwne ptaszki, a nie większe niż muchy i, podobne do żywych klejnotów, olbrzymie motyle.

W głuchych, niedostępnych tajniach dziewiczych lasów, w mrocznych ostępach puszcz afrykańskich, do których słońce nie zagląda nigdy, krył się tajemniczy „człowiek leśny", straszny goryl, na widok którego w najodważniejszych zamierały serca. Czarni zapewniali, że samo spotkanie z nim oznaczało śmierć.

W zaroślach i na zalanych słońcem, rozległych stepach, jak daleko sięgało oko, tysiącami, dziesiątkami tysięcy, żerował zwierz: stada pręgowanych barwnie dzikich koni, niezliczone odmiany antylop, gazele, strusie, do przedpotopowych bestji podobne nosorożce i, nieznane białemu człowiekowi, wysokie jak wieże, czujne żyrafy.

Już za dnia, zanim zaszło słońce, do wodopojów setkami ciągnęły słonie, a na łęgach nad rzekami, w niezliczonych, czarnych stadach, pasły się w nadbrzeżnych szuwarach groźne bawoły afrykańskie, zwane przez krajowców „bożem bydłem". Nocami, kiedy nastała ciemność, do podziemnego grzmotu podobny, krew ścinał w żyłach i straszył podróżników ryk lwa, powracającego z łowów.

---

*) Sztuczne. (Przyp. aut.).

ELDORADO.

Powracający z Czarnego Lądu opowiadali cuda o niezmiernem bogactwie nieznanych białych zwierzostanów, zamieszkujących Afrykę. — Powtarzali to zgodnie wszyscy podróżnicy, tacy nawet, dla których obojętne były przyroda i polowanie. Według ich opowiadań Afryka była dla myśliwego Ziemią Obiecaną, na której, stadami całemi, spotykać można było co najgrubszego zwierza świata codziennie, na każdym kroku. Pod znakiem św. Huberta, po wszystkie czasy, nie brakowało śmiałków gotowych poszukiwać, bodaj za cenę życia własnego, hazardu i przygód. Dawno więc znaleźli się biali myśliwi, którzy zapragnęli zobaczyć kraj ten błogosławiony i popróbować tam szczęścia z bronią w ręku.

Na owe czasy jednak, nie tak odległe zresztą, bo ledwie niecały wiek temu, wyprawa do Afryki, a zwłaszcza wyprawa myśliwska, igraszką nie była. Zupełny brak komunikacji, a na miejscu przygody, których szukał właśnie myśliwy, nadawały podróży takiej cechę imprezy ryzykownej, z której biały powracał niezawsze.

Prócz zwykłych, niekiedy ogromnych przeszkód i trudności, z jakiemi połączony był pochód przez kraj nieznany, wrogi i niezdrowy, duże niebezpieczeństwo również przedstawiało samo polowanie na potężnego zwierza Afryki. Myśliwy narażał życie, bo w spotkaniu z najgroźniejszymi olbrzymami świata zwierzęcego nie posiadał jeszcze morderczej broni, jakiej używamy dzisiaj. Liche, słabe strzelby, jakiemi posługiwali się pierwsi europejczycy na Czarnym Lądzie, oglądamy dziś, nie dowierzając, w zbiorach tylko i w muzeach.

Mimo to odważnych, którzy jechali do Afryki na polowania, nie brakło i liczba ich wzrastała z rokiem każdym, w miarę, jak rozchodziły się wieści o przywożonych przez białych strzelców bajecznych trofeach.

Różnorodnością i bogactwem, zbiory, oddawane przez nich do muzeów, w podziw wprowadzały europejski świat uczonych.

Niestety, łowy na Czarnym Lądzie, prócz wrażeń i przygód, dawały pokaźne zyski. Niezadługo też pojawiła się postać strzelca-zawodowca, polującego dla dochodu i uważającego myślistwo nie za sport, a za proceder i sposób do życia. „Myśliwi" tego pokroju, oczywiście, strzelali głównie zwierzynę, która przedstawiać mogła wartość pieniężną, jak: nosorożec, hipopotam, żyrafa i zwłaszcza słoń. Za kość słoniową płacono dobrze, więc nieszczęśliwe olbrzymy, których wówczas było jeszcze dużo, mordowano jako cenną zdobycz, tysiącami. Prowadzone przez białych myśliwych, na wybrzeżu, w portach, coraz liczniejsze pojawiały się karawany całe tragarzy, obładowane kłami, zdobywanemi w tajemniczych ostojach Czarnego Lądu.

Później dopiero, już w naszych czasach, pojawił się nierównie więcej kulturalny i sympatyczny myśliwy— sportsman i przyrodnik, zasilający muzea i szukający w Afryce nie dochodu, a wrażeń spotkania z niebezpiecznymi mieszkańcami jej haszczów i stepów.

Czytając opisy niebezpieczeństw, z jakiemi walczyć musieli na Czarnym Lądzie myśliwi - pionierzy: Le Vaillant, Baker, Gordon-Cumming, Kirby i zmarły niedawno nestor myśliwych afrykańskich, stary weteran Selous, trudno nie podziwiać odwagi i żelaznej energji tych ludzi, którzy imionami swemi zaszczyt przynoszą myślistwu.

Często bez dostatecznych środków i, co za tem idzie, bez należytych przygotowań, bez doświadczenia, bez innych towarzyszy jak czarni tragarze, bez przewodników, których ludność wroga dostarczała niechętnie — uzbrojeni niedostatecznie, ludzie ci wdzierali się śmiało do serca Czarnego Lądu, aby tam, w spotkaniu ze zwierzem, śmierci zaglądać w oczy codziennie. Życie, jakie tam prowadzili, wolne od trosk i od przymusu, życie przygód i wrażeń, urok przedstawiało niezmierny. Kto go zakosztował, kto dotknął stopą zaklętej ziemi Sfinksa, ten pod czarem jego pozostawał na resztę życia i na Czarny Ląd powracał, choć wiedział, że wcześniej czy później, za czary te zapłaci życiem. Bo kto raz był w Afryce, kto mieszkał tam pod namiotem i wśród niezmierzonych haszczów panem był nieograniczonym swej woli, temu potem duszno już było w ciasnej, przeludnionej Europie.

Urzeczonych tak zginęło wielu, bo śmierć na Czarnym Lądzie zawsze była blisko i trop w trop chodziła za białym myśliwym. Choroba, zatarg z krajowcami, zatrute podstępnie źródło, bunt tragarzy, albo zdrada przewodnika i nieuchronna wówczas, straszna śmierć z pragnienia, a wreszcie możliwe zawsze niepowodzenie w spotkaniu z grubym zwierzem, groziły białemu codziennie. Karta odwracała się, myśliwy przepadał bez wieści, nie wiedział nikt ani jak, ani kiedy: tonął gdzieś w głębi Afryki, jak kamień rzucony do wody.

A jednak, mimo wszystko, naśladowców nie brakowało, bo pokusa, która nęciła, ogień, który ich palił, silniejsze były po wszystkie czasy, niż rozwaga. Tacy nawet, którzy z wypraw swych powracali chorzy, ledwie żywi, ledwie wracając do zdrowia, roili o dalszych przygodach i układali plany przyszłych podróży, wyczekując chwili, w której odzyskane siły pozwolą im wyruszyć i składać nowe ofiary na ołtarzach Sfinksa.

Zaklęci przez niego rzucali kraj, dom, rodzinę i bez wahania szli, aż pewnego razu — nie powracali więcej. Wówczas, niezawsze, przynoszone przez czarnych, dochodziły wieści, że gdzieś, daleko na Czarnym Lądzie, w górach czy nad rzeką, o nazwie dziwnie brzmiącej, do zapamiętania trudnej, myśliwy zginął od febry, zabłądziwszy, albo w spotkaniu z lwem lub z bawołem. Jeżeli polował samotnie, ginęła po nim nawet pamięć, jeśli miał białego towarzysza, na grobie, chroniąc ciało od hjen i od szakali, układano pagórek z głazów i na pamiątkę, w pobliżu, wycinano nożem myśliwskim krzyż na drzewie.

Tak kończyły się często przygody myśliwych afrykańskich, a po ojcach, którzy zginęli, posłuszni czarowi Sfinksa, szli na Czarny Ląd synowie.

(D. c. n.) STANISŁAW ZABOROWSKI.

Wszystkim Członkom Polskiego Związku Łowieckiego DOSIEGO ROKU życzy

Redakcja



Motyw z Puszczy Iłżeckiej. (Fot. Nr. 2 do art. „Jelenie w Puszczy Iłżeckiej).

JELENIE W PUSZCZY IŁŻECKIEJ

Od czasu wskrzeszenia Rzeczypospolitej cieszymy się sukcesami na wielu polach, te sukcesy dają się też widzieć w szeregu naszych łowisk, czemu dała wyraz wystawa w Berlinie, również w związanej bardzo ściśle ze zwierzostanem gospodarce leśnej.

Przed laty kilkunastu byłem jako wojskowy w Starachowicach i, spotkawszy jednego ze znajomych, a świadomych rzeczy kierowników przedsiębiorstwa, zapytałem o lasy i zwierzynę w Puszczy Iłżeckiej. Odpowiedział machnąwszy ręką, że jedno i drugie stoi niżej krytyki, w całych lasach, zdewastowanych i zniszczonych przez rozprzężenie, jakie w czasie wojny i po wojnie miało miejsce, gospodarka leśna podupadła zupełnie. Co do zwierzyny, o tej mówić niewarto, gdyż na obszarze około 25000 ha ślad zająca w zimie jest rzadki, a sarn zaledwie parę chowa się w największych gąszczach przed wiecznym pościgiem rozpanoszonego kłusownictwa.

A dziś... najlepiej stan rzeczy zilustruje polowanie na jelenie w czasie rykowiska. Rykowiska w Puszcz Iłżeckiej skupiają się w kilku rewirach, ryczy w każdym rewirze po kilka byków, do których ściągają inne.

Przyjechałem do Głównego Nadleśnictwa w Marculach w godzinach popołudniowych i odrazu wpadł mi w ucho tak miły dla myśliwego ryk jelenia.. Na pół godziny przed zachodem słońca wychodzimy z gł. Nadleśniczym p. Pierożyńskim do lasu, w którym obok zrębu ryczy jeden silniejszy, a wtóruje mu kilka słabszych byków. Podchodzimy pod zrąb i p. P wskazuje mi kierunek, w którym mam obejść zrąb, aby spotkać się z bykiem, który niechybnie wyjdzie z gąszczów na otwarte miejsce. Jakoż zataczam półkole i ukrywając się za poszczególne drzewka zagajenia i gęste krzaki żarnowca staję naprzeciw środka zrębu, ukryty w dobrze maskujących krzakach. Próbuję wabić, ale zbyt wiele ryczy jeleni, aby głos mój mógł zrobić na ryczących bykach jakiekolwiek wrażenie.

Po 15 minutach wysuwa się z gąszczów na otwarte miejsce średni dziesiątak i zwolna ciągnie obok mnie w odległości 40 kroków. Nie strzelam i przestaję wabić, aby czasem ten byk nie chciał się ze mną zapoznać, a przez poznanie mnie i ucieczkę nie narobił paniki w łowisku. Byk przechodzi zwolna przez cały zrąb i nie zwietrzywszy mnie ginie z oczu w większym lesie. Jest to młody jeleń, wygląda na pobitego przez mocniejszego.

Wieczór zapada. Słońce chowa się początkowo za czuby sosen i tylko czasem pojedyńcze promienie przedzierają się przez gęstwinę, aby zrzadka rozrzucić na zrębie świetliste plamy. Lecz trwa to niedługo, bo kula słoneczna chowa się zupełnie i ciemność za-

czyna rozsnuwać się z gąszczów. Najmocniejszy byk ryczy z drugiej strony zrębu coraz bliżej, coraz mocniej rozlega się jego potężny bas. Mrok już nastaje, gdy na otwartem miejscu ukazuje się kształtna postać łani, a za nią po dłuższej chwili wysuwa się byk-dwunastak. Strzelać czy nie strzelać? Meta dość daleka, jest ze 250 kroków. Mgła, która wraz z mrokiem rozprzestrzeniła się na zrębie, utrudnia strzał przez szkło, a strzału bez lunety, ze względu na zlewanie się zwierza z podszyciem, jeszcze mniej można być pewnym. A jeleń, tak — dwunastak ale średni, według głosu zdawał się mocniejszy. Więc czekać... może się zbliżą, bo łania na moje wabienie zdąża ku mnie. Lecz trwa to chwilę, bo potem znów zawraca i idzie ukośnie oddalając się. Byk ryczy zrzadka, sekunduje mu kilku partnerów, jeden gdzieś daleko, jakby bardziej mocny.

Robi się coraz ciemniej. Jeszcze raz patrzę przez lornetkę, jeszcze raz z najzimniejszą krwią biorę byka na muszkę przez lunetę i decyduję się... że nie strzelę..., bo tak mi się chce kończyć w jeden wieczór tego tak ciekawego polowania. A może trafi się grubszy, bo padł już w bieżącym roku w tem łowisku 16-ak i 14-ak, a tam daleko ryczy zrzadka i bardzo nisko jakiś senjor, może mocniejszy? Więc nie strzelam i wycofuję się z gąszczów. Wnet też łączę się z p. P., który obserwował z ukrycia polanę i widział oba byki, również jak i ja.

Zapada noc. Rykowisko wraz z chłodem wieczoru wzmaga się na sile. Słychać, że ryczy 4—5 byków. Prawdziwa obora. Grzmi dwunastak! Wtórują mu barytonem dwa słabsze rogale. Zbliża się do zrębu też jakiś nowy, jakby podrażniony, szukający zwady byk. Bliżej już nieco huczy zrzadka grobowym głosem najstarszy, może 16-ak, a może wstecznik? Ciemności panują zupełne, gdy wracamy do Nadleśnictwa, gdzie przyjeżdża też pułkownik W. z zabitym przez siebie mocnym dwunastakiem o obwodzie róż 30 cm. (fot. 1).

Na drugi dzień w tym samym rewirze stoję przez chwilę zakłopotany, bo cały las gra, jak organy, głosami ryczących rogali. Najbliższy nie wydaje się mocny, niedaleko za nim na otwartych miejscach ryczy, zda się, wczoraj widziany dwunastak, za nim znów jeden czy dwa, z boku jednak w kierunku południowym słyszę — ryczy jeden, a wnet za nim drugi, oba bardzo mocne, bo ryczą głębokim basem. Biorę kierunek na te dwa. Zaczynam wabić, ale głos mój ginie w ogólnem rykowisku. Wątpliwem jest czy w takim harmiderze wabienie wogóle może się na coś przydać. Idę zatem ostrożnie za najsilniejszym basistą, mając z boku drugiego podobnego. Podchodzenie utrudnia wiatr, który się zmienia. Przechodzą dwie godziny, w czasie których staram się zbliżyć tak, aby zobaczyć ryczącego, napróżno jednak, byk nie dopuszcza mnie na taki dystans i nie zdołałem podejść najgrubszego, widać też było, że mój wab zupełnie go nie interesował. Godzina siódma, rykowisko skończone, lecz ja mam pełne uszy tych różnorodnych a potężnych dźwięków, zdaje mi się ciągle, że one jeszcze ryczą... ale to halucynacja słuchowa.

Wieczór. Jedziemy w inne okolice, tam gdzie ma rezydencję kapitalny szesnastak. Podjeżdżając spotykamy gajowego, który melduje, że jelenie nie ryczą, bowiem rewir był przeszukiwany za strzelonym rano przez innego myśliwego bykiem. Stajemy w gąszczach zagaju na skrzyżowanych leśnych linjach, skąd mamy podchodzić grubego byka. Nic, cisza! „Nieobecny — widocznie" — mówi mi towarzysz, podleśny p. M. Wyciągam swój róg bawoli i zaczynam wabić, udając mocnego byka. Odpowiada w stronie skąd przyjeżdżaliśmy dość silny jeleń. „To dwunastak ale nie bardzo mocny" — mówi p. M., po chwili gdzieś za 12-akiem ryczy drugi słabszy. Wieczór zapada. Sosny od zachodzącego słońca rzucają coraz dłuższe cienie. Mając już dwóch współtowarzyszy w ryczeniu, nabieram, jak to się mówi, całej pary i zaczynam ryczeć ze wszystkich sił. Po kilku mych wabieniach pan M. trąca mnie w rękę i mówi: „Odpowiada szesnastak". Wsłuchuje się... Gdzieś hen... daleko, z przeciwnej niż dwunastak strony, może o dwa kilometry płyną zaledwie słyszalne niskie, jakby daleki głos gromu, kontrabasowe tony kapitalnego prawdopodobnie byka. Zaczynamy przerykiwać się, sekunduje rzekomy dwunastak. Lecz czas robi swoje. Słońce już zaszło i pierwsze oznaki ciemności są już widoczne. Zniecierpliwienie moje rośnie. Silny byk ryczy jakby bliżej, ale jemu się nie śpieszy. Jest jeszcze daleko. Próbuję lunety, widać jeszcze nieźle. Naraz blisko zupełnie rozlega się głos lisiury, który wieczorem wyszedł na łowy.



Fot. Nr. 1.

Ciemności coraz gęstnieją, jakby rozlewały się z gąszczów zagajników. Przestaję wabić i słucham. On odzywa się bliżej, ale jeszcze jest daleko. Niema mowy dziś o dojściu do strzału. Wycofujemy się więc pocichu z rewiru, nasłuchując od czasu do czasu, aby się zorjentować jaki kierunek obrał wabiony. Widać, że on nie decyduje się na zbliżenie, bo znów kilka jego grzmotów jakby szło z jednego miejsca. Natomiast przypuszczalny dwunastak zbliża się coraz bardziej. Trzeba więc wracać, aby nie spłoszyć jeleni, bo w takiej ciemności strzał jest niemożliwy.

Zastanawiam się, czy z punktu widzenia myśliwskiego strzał do zwabionego a oświetlonego latarką elektryczną jelenia w nocy, co dać może niesłychanie wiele emocji, jest dopuszczalny? Sądzę, że tak, gdyż jelenie nie przychodzące na wab przy świetle, a przychodzące wśród ciemnej nocy, należą do najostrożniejszych, a więc najstarszych, z tego wynika, że to będą jelenie bardzo mocne albo już wsteczne. Lecz orjentować się trzeba według głosu. Trzeba więc mieć w tym kierunku pewne wyrobienie, bo silny głos i częsty ryk nie są znamionami wielkości wieńca, tylko tonacja oraz agresywność może być tu wskazówką.

O tem mogłem się przekonać kiedyś na rykowisku w Wielkopolsce, aczkolwiek wstecznika, który podszedł do mnie w nocy na kilkanaście kroków, zabiłem dopiero na drugi dzień rano, kiedy się ukazał znienacka na duży dystans. Wabienie w nocy jest połączone z pewnem ryzykiem dla wabiącego, bo jeleń może zaatakować w sposób bardzo gwałtowny, co rzadko ma miejsce w dzień i dlatego strzał tego rodzaju może dać dużą satysfakcję. Ryzyko to poniekąd wynika z tego, że oświetlając zbyt wcześnie, możemy spłoszyć jelenia i to na zawsze, bo po takiem zjawisku niechybnie wyniesie się on z ostoi i to na długo. Natomiast oświetlając zbyt późno, możemy się znaleźć w momencie rzucenia się byka do ataku, czyli narazić sie na fatalne skutki, jeśli szybki a celny strzał nie zwali nam byka pod nogi. Myśliwy oświetlając musi przygotowany na to, że wypalić należy w ciągu ułamka sekundy po oświetleniu, czyli broń należy mieć przykładną i bez lunety. W promieniu światła latarki, trzymanej równocześnie ze sztucerem w lewej ręce, musi znaleźć się i muszka sztucera, aby ją można było jednocześnie ze światłem skierować na oświetlonego zwierza.

Przeciw tego rodzaju polowaniu przemawia to, że nie możemy ocenić wartości byka uprzednio mu się przyjrzawszy, a sądzić musimy z głosu. Oświetlając też jelenia np. z ambony, niczem nie ryzykujemy, a niweczymy jeden z naturalnych środków obrony zwierzyny, z których ona dla swego bezpieczeństwa korzysta. Nie można też dla tego rodzaju polowania używać wabiarza, który nie mając sztucera, może wobec atakującego byka okazać się bezbronny i być narażony na ciężkie konsekwencje. a nawet zostać zabity. O ile więc myśliwy sam wabi i sam ryzykuje, to uważam, że polowanie takie jest dopuszczalne, zwłaszcza jeśli chodzi o tajemniczego starego jelenia lub szkodliwego wstecznika, którego za światła ani się nie podejdzie, ani zwabi, a jedynym sposobem będzie zwabić go wśród nocy i strzelić na kilkanaście kroków, o ile mamy poważne dane ze względu na głos, trop i t. d., że będzie to rzeczywiście stary byk.

Wracając poprzez Iłżecką puszczę w nocy, zatrzymywaliśmy parę razy naszego sympatycznego konika, aby się nasycić czarem jesiennego wieczoru i nasłuchać rykowiska, które było rzeczywiście koncertem nad koncertami. W jednej sekcji byki nadzwyczajnie ryczały i wyzywały się do walki; tam zdecydowaliśmy jutro zrana rozpocząć podchód.

Kładę się spać zwieczora z myślami o tem, co też dzień jutrzejszy, jako ostatni, który mogę spędzić na rykowisku, przyniesie. Co godzinę budzę się i spoglądam na zegarek. O godzinie 3-ciej rano mam wyjechać z p. M., lecz już od wpół do drugiej jakoś spać nie mogę. Niedobrze — myślę sobie, przewracając się na drugi bok, lecz sen nie przychodzi. Trudno, człowiek żyje w czasie rykowiska w silnem podnieceniu, jakby zażył jakiegoś narkotyku. Rykowisko upaja, jak dobre wino i przyśpiesza tętno, a sen jest lekki, przeżywa się ciągle, czuwa się i nasłuchuje śpiąc. Otwieram okno i kładę się znowu, byki ryczą w niezbyt wielkiej odległości od domu. Rześkie nocne powietrze napełnia pokój. Wraz z wonią sośniny, rosnącej o kilkadziesiąt kroków, dochodzą specyficzne leśne, jesienne zapachy. Godzina wpół do trzeciej — ubieram się pośpiesznie, słyszę, że wstaje gościnny a czujny gospodarz p. Pierożyński, aby mnie zbudzić. Napojony gorącą herbatą, wychodzę na dwór, aby zbadać czy p. M przyjechał. W niezbyt wielkiej odległości słychać turkot jego wózka. Wszystko, jak w zegarku. Organizacja znakomita.

Siadam na linijkę i jedziemy z pół kilometra szosą, aby zapuścić się następnie leśnemi ścieżynami wgłąb lasu. Kilka byków ryczy w pobliżu nadleśnictwa, lecz my jedziemy tam, gdzie wczoraj byki dały nam koncert wieczorny. Mądry konik — leśny wyga doskonale orjentuje się w ciemnościach i pewnie stąpa, zwalniając sam w trudniejszych miejscach. Nad nami tylko linja gwiazdami usłana wskazuje drogę, z boków nieprzebyte mury ciemności. Cztery czy pięć kilometrów drogi i wreszcie jesteśmy na miejscu.



Wysokorogi dwunastak (Fot. Nr. 3).

Słuchamy — byki ryczą zrzadka. Przez całą noc ryczenia ostudziły się w bojowych zapałach, bo już nie słychać wyzwań do walki, tylko tęskne wołanie o łanie, które pewnie „on", najmocniejszy prowadzi i nawet patrzyć nie pozwala. Postanawiam zdać się na podprowadzanie przez p. M..., który w tym kunszcie ma celować. Ryczy 3 czy 4 byki. Wszystkie dość mocne. Świta. Zaczynamy podchodzić najbliższego. Gwiazdy już bledną, świetlne półkole na wschodzie rośnie i przenika swemi odblaskami na mniej zarośnięte miejsca. Podchodzimy z wielką ostrożnością, trzymając się ściśle pod wiatr, w czem p. M. celuje. Brzask coraz bardziej przenika gąszcze, górne wierzchołki drzew wykazują już wyraźne kontury, natomiast w dole panuje jakaś mglista szarość, przeplatana czarnemi przesłonami zwartych gąszczy. Byk ryczy silnie o jakieś 250—300 kroków, lecz z tonacji nie wy-

daje się on bardzo mocnym. Za nim ryczy inny, jakby mocniejszy, a z boku ciągnie na tego, którego podchodzimy, znów inny, też mocny. Choć mam róg do wabienia, lecz nie wabię, bo poco wabić, jeśli tę rolę spełnia w stosunku do innych, dalszych jeleni podchodzony przez nas jeleń. Staramy się do niego zbliżyć coraz bardziej. Szarość ustępuje żółtawemu odcieniowi światła, które przebija coraz intensywniej gęstwiny. Lecz szare plamy mroku są jeszcze wszędzie, choć niektóre krzaki zaczynają połyskiwać coraz wyraźniej, zwłaszcza te, które okryte rosą stoją odosobnione (fot. 2).



Autor w powrocie z rykowiska (Fot. Nr. 4).

Ledwie zamknąłem Leikę, gdy naraz jedna z czarnych plam podnosi się i zaczyna fukać. Słyszę szept: „Maciora z warchlakami" Pani samura jest najwyraźniej zła, może dlatego, że tak blisko zeszli ją ludzie. Zatacza małe półkole i staje na zupełnie widocznem miejscu w pozycji bojowej, gwizdem do nas i fuka energicznie. Słyszę znów szept: „Rzuci się na nas cholera!". Biorę więc „cholerę" na muszkę pod lunetę i czekam. Wietrzy coraz donośniej, znów zatacza ćwierć koła i staje jeszcze bliżej, na 30 kroków, jakby chciała osłonić swoje warchlaki. Stoi i znów fuka. Ściągam przyśpiesznik i czekam. Nie mam zupełnie ochoty strzelać do samury, przedewszystkiem aby nie spłoszyć byka, jednak jeśli będzie szarżować, to trudno... Lecz warchlaki w śmiesznym galopku odsuwają się rechtając, więc i ona za niemi wycofuje się. Odetchnąłem, bo nie strzelając, mam jeszcze wciąż szanse podejścia byka. Idziemy więc na głos jelenia. Przechodzimy przez malutki wzgórek, gdy wtem o dwadzieścia kroków zrywa się z gniewnem sapnięciem znów duża czarna plama. Słyszę szept: „Kominiarz bestja!". Pomimo, że jeszcze ciemno, widzę białe szable. Pan odyniec rejteruje kłusa, nie śpiesząc się zanadto, muszka już na nim, przeprowadzam go. Stanął i naraz kłapnął szablami o fajki. Ostry dźwięk przeszył ciszę poranku. Trzymam go przez lunetę na muszce. Nie zastanawiając się długo, dzik zawrócił i zniknął w gąszczach. Nie strzelałem i tym razem, lecz trudno — podchodzi się jelenia. „Szkoda, duża bestja" — słyszę szept.

Zaczynam podchodzić znów ryczącego. Jesteśmy coraz bliżej, może 120—150 kroków. Głos jego wydaje się czasem tak blisko, jakby byk był tuż—tuż. Oczy szyją gęstwiny z jakiemś bolesnem naprężeniem. Jest już prawie zupełnie jasno. Ciemne plamy gąszczy tracą swe ostre kontury. Barwy krzaków i pnie drzew odzyskują właściwe kolory. Jeleń ryczy doniośle, wołając o łanie. Jest więc sam. Z powodu bliskiej odległości zaczynamy podchodzić go tak, jak podchodzi się głuszce, przebiegamy lub dajemy duże kroki kiedy on ryczy, a stoimy kiedy milczy. Ciągnie wyraźnie w lewo. Widać, jak coś porusza się w gąszczach. Składam się, luneta ma w środku ciemno bronzowy punkt, lecz jaki wieniec? Nic nie widać. Trzymam muszkę na komorze, a palec na cynglu. Posuwa się nieco naprzód, jest o 100 kroków, lecz stoi w cieniu. Nie decyduję się na strzał, bo nie widzę wieńca. Ryczy, zamajaczył opuszczony w tył wieniec, lecz mam wrażenie, jakby wieniec ten nie był długi. Posunął się znowu, staje na dobrze oświetlonem miejscu. Jakieś cienkie drzewo przedziela go na pół. Jest, jest wieniec. Widzę wyraźnie: tak, krótki, koron nie widzę, pewnie bezkoronowy dziesiątak. Słyszę szept: „Dobry strzał". Więc jeszcze raz przez szkła lornetki wytężam wzrok. Tak, koron nie widać, dziesiątak albo ósmak. Daję przeczący znak p. M..., że strzelać nie będę. I wskazuję w lewo, skąd dochodzi mnie głos mocniejszego byka. Dziesiątak, zapewne chłyst, idzie zwolna naprzód, to ukazuje się, to znika, idziemy równolegle, gdy nam ginie z oczu również pod wiatr, mając na uwadze, że dalej za nim ryczy mocniejszy, a i z lewego boku mamy też rzadko odzywającego się lecz silnego byka. Promienie niewidocznego jeszcze słońca ozłociły wierzchołki sosen. Ciemność ustępuje całkowicie. Las zaczyna przepełniać się światłem słonecznego poranku. Trzy jelenie ryczą rzadziej, lecz ten z lewej jakby przysunął się bliżej. Słyszę szept: „Idzie!". Przygotowuję się do strzału. W gąszczu miga bronzowe futro. Składam się, opierając na mej rozsuwanej lasce, i oczekuję wstrzymując oddech.



Fot. Nr. 5.

Widzę gołem okiem bardzo wysoki wieniec o błyszczących w koronie końcach, zwierających się w kształt łopaty. Silny zwięzły korpus i spora grzywa wskazują, że to starszy byk. Nie liczę odnóg, bo zlewają się z główną tyką, lecz ta wysokość tyk, około metra, myślę wystarcza! Decyduję się na strzał. On ciągnie powoli poprzez gąszcze, przystając i rozglądając się, jakby się chciał przyjrzyć dziesiątakowi, którego uprzednio widziałem. Ciągnie w kierunku linji. Wychodzi na bardziej odsłonięte miejsce na 90—100 kroków, nie czekam aby wyszedł na linję i strzelam na muszkę, biorąc okolicę serca. Jeleń robi skok w górę, w którym się załamuje i pada wznak, potem stara się podnieść i znów pada. Widzę tyki, lecz nie widzę odnóg. Pan M.... biegnie i podchodząc do rzucającego się w agonji woła: „dwunastak, ale bardzo mocny". Strzela następnie z moją aprobatą z rewolweru o 5 kroków za ucho, aby byk się nie męczył. Leży z pięknie odrzuconym wieńcem, ustawiam wieńce pionowo i robię zdjęcie (fot.3). Długość tyk, jak na nizinnego jelenia, rzeczywiście poważna: 107 i 109 cm. Pan M... winszuje i rozradowany ściska mi ręce.

Lecz rykowisko pomimo strzałów nieskończone. Tylko przestał ryczeć widziany dziesiątak. Byk, który szedł poza nim, ryczy, również odzywa się jakiś inny bardziej na prawo. Próbujemy tego pierwszego podchodzić, bo jeszcze godzina wczesna. Jakoż udaje się nam zejść go na metę 80—100 kroków, jednak w takich gąszczach, że na 20 kroków już nic nie widać. Parę razy następujemy mu zdaje się na pięty, lecz gąszcze wszystko niweczą, bo byk trzyma się ich uparcie i ani myśli opuścić. Ryczy też coraz rzadziej i wreszcie zacicha.



Fot. Nr. 6.

Decydujemy się zakończyć polowanie. M. idzie po konie, ja pozostaję w miejscu. Nie rezygnuję jednak z podchodu i wabiąc staram się podejść możliwie blisko. Jakoż łamiąc gałązki, niby jeleń, udaje mi się zbliżyć, czuję jego swąd! Jestem na 40—50 kroków, nie widzę nic! Wszystko przesłania gęsty, prawie zwarty gąszcz podszytu. Jeleń słyszy mnie, gniewa się, wydaje czterokrotnie u...u...u...u... Zdejmuję lunetę i naciskam przyśpiesznik. Z bronią gotową do strzału podchodzę kilka kroków, gdy on ryczy, znów kilka kroków i znów nic nie widzę. Jest tuż, słyszę stąpanie i ocieranie jego rogów o gałęzie. Serce wali, jak młotem, czuję jakiś specjalny puls w gardle. On, widocznie zniecierpliwiony, odbiega kłusem kilkadziesiąt kroków i rycząc grozi mi znów, ale już jest dalej. Jeszcze jedna próba podejścia, ale znów gąszcz niweczy możność zobaczenia. Jeleń musi być mocny, bo z gardła jego płyną specjalnie niskie, kontrabasowe dźwięki dolnego „D", których nie powstydziłby się Didur czy Szalapin. Więc może... do zobaczenia w przyszłym roku. Wycofuję się na ścieżkę i zmierzam drogą w stronę, skąd mają nadejść konie. Idę cicho, ostrożnie. Bo tu tyle zwierzyny — wszystko możliwe. Widzę o 40 kroków kozę, a potem silnego rogacza. Spostrzegają mnie i bez zbytniej trwogi chowają się w gąszcze.



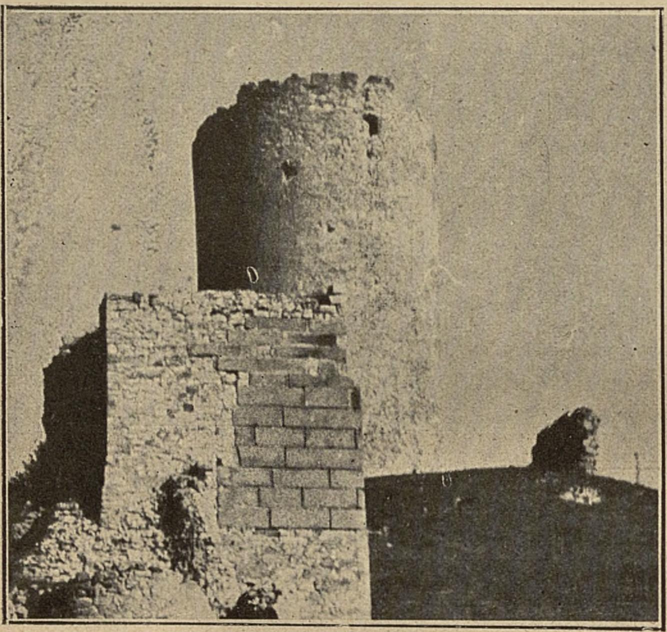
Ważenie jelenia (Fot. Nr. 7).

Nadjeżdża wreszcie linijka i ładujemy byka. Sposób ładowania jest bardzo praktyczny. Wóz przechyla się na kołach i podsuwa rozworami pod byka, poczem przyciąga się byka bokiem do deski, a następnie przechyla wóz wraz z bykiem. Jest to daleko dogodniejsze, aniżeli podniesienie jelenia ważącego 200 kg w górę i ułożenie na linijce czy wozie. Po przytroczeniu jelenia wieńcem do woza ruszamy z powrotem (fot. Nr. 4). Wracając analizuję przeżyte chwile i udany sposób podejścia pod wiatr pierwszego z widzianych byków, dziesiątaka. Trzeba mieć specjalne wyczucie wiatru, co w lesie, przy częstych zmianach kierunku o wschodzie słońca, jest dosyć trudne. W podobny sposób jak ja zabił w Iłżeckiej puszczy 16-aka p. R. Podchodził on 14-aka, na którego napadł 16-ak i zwyciężył go, w czasie walki p. R zdołał podejść bliżej i ubić zwycięzcę.

W czasie tegorocznego rykowiska w Starachowickich lasach padło prócz mego byka jeszcze sześć, w tem szesnastak p. R. (fot. Nr. 5), o wadze wieńca 8,4 kg. i około 198 punktów według norm Międzyn. Komisji, czternastak p. J. (fot. Nr. 6) o wadze 6,8 kg i około 170 punktów i dwunastak pułk. W. Wszystkie sztuki mogą ubiegać się o premje. Poszczególne wymiary są poważne, tak więc 12-ak pułk. W. ma w obwodzie róże około 30 cm. Mój 12-ak ma wieńce bardzo długie. Sze-

snastak p. R. imponuje ilością odnóg i wagą. Czternastak p. J. ciekawy ma układ koron i długie tyki 96 i 100 cm. P. Pierożyński może być dumny ze swych wychowanków i ze stanu zwierzyny wogóle. Jest to jakby zwierzyniec, w którym roi się od płowego i czarnego zwierza.

Czy są one nadmiernie rozmnożone? Nie sądzę, bo nie widziałem widocznych, większych szkód w lesie. Trzeba przypuszczać, że w miarę zwiększania się podszytu, płowy zwierz będzie robił coraz mniej szkód. bo będzie miał coraz więcej naturalnej paszy. A dziki? Wszędzie widziałem ich pożyteczną pracę przeorywania gleby leśnej w pogoni za pędrakami największych leśnych szkodników. Niestety, jednostronny pogląd niektórych znawców gospodarki leśnej nie uznaje wielkiej korzyści z pracy czarnych sanitarjuszów lasu. Bo dziś wszystko się mierzy strychulcem doraźnych korzyści i wyliczaniem strat, które łatwo dają się obliczyć i zysków w gospodarstwie leśnem, które są trudniej uchwytne i tylko po dłuższym czasie uwidoczniają się. Czy przy takim podszycie, jaki jest w Iłżeckiej puszczy, mogą w lasach robić szkody jelenie, dziki i sarny, jeśli niemi się opiekuje w zimie doświadczony leśnik i hodowca?



Ruiny zamku w Iłży (Fot. Nr. 8)

W naturalnych warunkach bytowania tak płowy jak i czarny zwierz nie sądzę, aby mógł być szkodliwy. Prawda, wychodzi w pola i robi szkody w owsach, w kartoflach i oziminach, przesadne jednak traktowanie tych szkód jest wielokrotnie i powszechnie stwierdzone. Od tych szkód sądzę, że można się też zabezpieczyć, uprzystępniając w głębi lasów jeleniom i dzikom ich sezonową paszę na specjalnych poletkach. Nakład na te poletka będzie stanowić znikomą część tego, co za szkody liczone jest przy dzisiejszym systemie przez sąsiadów ostoi grubszej zwierzyny. Przypuszczam też, że skoordynowanie kilku środków, przedsiębranych przeciw wychodzeniu zwierzyny w pola, będzie też znacznie mniej kosztować, aniżeli płacone „odszkodowania".

Duży nakład pracy i dużo nieprzyjemności kosztowało w Starachowickich lasach skasowanie tak szkodliwych dla młodego drzewostanu i zwierzyny wypasów bydła. Jeśli stan obecny jest tak wysoki, to w pierwszej mierze dzięki ograniczeniom pod tym względem oraz dzięki walce z kłusownictwem.

Jeśli chodzi o szkody, jakie zwierzyna może robić w przyległych do jej ostoi polach, to trzeba też uciec się do nowoczesnej chemji i nawet radjotechniki, aby działać na węch, wzrok i słuch płowego zwierza. Specjalnie zatem silnie i trwale pachnące środki, przypominające zapach np. ludzkich wydzielin, jak skatel i indel lub metylaminy, mogą działać odstraszająco na węch zwierza płowego i czarnego — nie czyniąc mu szkody. Pod tym względem są już pewne preperaty w sprzedaży. Na wzrok zwierza należałoby działać przy pomocy strachów imitujących ludzi, a świecących w nocy, przez wysmarowanie świecącemi farbami zawierającemi np. siarczek kadmu, lub inne świecące w nocy substancje. Wreszcie co do działania na słuch podobno są w użyciu dla tego celu butelki zawieszone pionowo na gałęziach, wewnątrz których zawieszony jest na drugim sznureczku gwóźdź, lub kawałek żelaza swobodnie się obracający. Przy lekkim wietrze, lub przy przechodzeniu zwierzyny w pobliżu, gwóźdź dotyka zlekka szkła, wywołując dźwięk. Ewentualnie mogłyby znaleźć użycie na wylotach przesmyków wiodących na pola lekkie petardy, ułożone pomiędzy dwoma kawałkami kory na przesmykach zwierzyny, również samostrzelające straszaki i t. p.

Może wydać się poniekąd fantastyczną następująca propozycja, ale jeśli gdzieś płacone są za szkody duże sumy, sięgające kilkunastu czy kilkudziesięciu tys. złotych, to czy nie możnaby zapomocą specjalnego radja zorganizować sieć głośników kryształkowych i ew. ze swoistej a małej stacji nadawczej w centrum lasu lub puszczy, nadawać co jakiś czas różne okrzyki imitujące rozmaite głosy ludzkie, szczekanie psów i t. p. Głosy takie oddawane w ciągu całej nocy odstraszałyby zwierzynę od wyjścia w pole. Głośniki musiałyby być umieszczone w pniach drzew, w miejscach niewidocznych. Gdyby nawet na kilometr było takich 5—10 radjoodbiorników, to zapewne toby się opłaciło. Przy nadawaniu głosów należałoby unikać wszelkiej monotonji, bo zwierzyna łatwo się może przyzwyczaić. Tego rodzaju środki oczywiście należałoby wypróbować przy wylotach znanych przesmyków, wiodących z lasu w pola, któremi zwierzyna zazwyczaj ciągnie i tam, gdzie rzeczywiście może robić szkody. Wobec kosztów, jakie ponoszą niektóre łowiska za t. zw. „odszkodowania", sprawa samoobrony powinna wejść na porządek dzienny Pol. Związku Łowieckiego oraz instytucyj współpracujących z łowiectwem, bo przy dzisiejszych warunkach socjalnych należy zwierzynę płową i czarną na wszelki sposób umiejscowiać w lesie i odstraszać od wyjścia w pole. Takie ułożenie np. na wylotach przesmyków leśnych wiodących w pola kilkuset czy tysiąca petard będzie stanowić nieznaczny odsetek kosztów, jakie się płaci za odszkodowania. Zatrzymałem się nad tą sprawą dłużej, bowiem na przeszkodzie dalszego rozwoju tak pięknie prowadzonych łowisk, jaką jest np. Iłżecka Puszcza, „odszkodowania" są prawdziwą plagą egipską odradzającego się łowiectwa polskiego i powodują duże zniechęcenia i rozgoryczenia wśród najbardziej zamiłowanych hodowców grubego zwierza.

Jeleni stałych w Starachowickich lasach po wojnie było niewiele. natomiast od czasu do czasu zjawiały się przechodnie, które oczywiście na swój jeleni sposób badały stosunki. Kiedy te stosunki pod względem spokoju w lesie, a głównie przez skasowanie wypasów i zahamowanie kłusownictwa, zaczęły się poprawiać, je-

lenie zainstalowały się na stałe. W roku 1931 było już siedemnaście sztuk, przeważnie byków, które, ochraniane a żywione zimą, przed następnem rykowiskiem zaczęły robić wyprawy do sąsiednich borów po płeć piękną i sprowadzały sobie łanie. W roku 1938 liczyło się jeleni na 25.000 ha obszarów Iłżeckiej puszczy około 250 sztuk, przyczem trzeba zaznaczyć, że jelenie trzymają się na obszarze około 15.000 ha. Stosunek byków do łań 1 : 1, albo nawet łań jest mniej, bo słyszało się na rykowisku kilka byków, z których jeden miał tylko jedną łanię, a reszta kawalerowie. Jeleni selekcyjnych nie widać. Stan zdrowotny bardzo dobry, tylko latem bardzo dokuczają gzy, przed któremi jelenie chowają się w gąszczach świerkowych. Zimą daje się buraki, kartofle, siano, koniczynę i liściarkę. Wszędzie bardzo dużo widzi się żarnowca. Lizawek kilkanaście, sól daje się w bryłach, zmieszaną z gliną. Spałowywania drzew nie zauważyłem. Głównie robione są szkody przez obgryzanie sadzonek.

Jeleń w Iłżeckiej puszczy przedstawia typ miejscowy, bowiem nie był sprowadzany. Odrodził się prawdopodobnie z powojennych niedobitków z innych puszcz. W wieńcach przeważa typ o koronach symetrycznych, z tendencją do tworzenia łopat. Waga starych byków około 200 kg. W pierwszych pięciu latach po zainstalowaniu się na dobre jeleni, nie polowano na nie, dopiero w r. 1936 ubito 2 byki dwunastaki, w r. 1937 również dwa dwunastaki, a w 1938 r. 7 byków, z których jeden szesnastak, dwa czternastaki, trzy dwunastaki i jeden dziesiątak, a dwa poszły ranione! Do odstrzału przeznaczonych było 11. Jak mówią leśnicy, którzy oglądali zabitego przezemnie 12-aka o 196 kg wagi, są w puszczy byki znacznie większe, co może potwierdzać spostrzeżenia p. Pierożyńskiego, że do Iłżeckiej puszczy przychodzą w czasie rykowiska byki z okolic podgórskich w Świętokrzyskiem, względnie z Podkarpacia. Wieniec czternastaka wskazuje na pochodzenie górskie. Natomiast inne, jak 16-ak, 12-ak pułk. W. i mój, są wybitnie nizinne.

Iłżecka puszcza, wobec sprężystej organizacji łowieckiej obfitości płowego zwierza, ustalonych miejsc rykowiskowych i piękności drzewostanu, nadaje się na sfilmowanie i radjofonizowanie rykowiska w warunkach naturalnych. Inż. TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

PRZYGODA Z LISEM

W dniu 9 listopada 1935 r., przy ślicznej słonecznej pogodzie z lekkim wiatrem, wyszedłem na torfiska, poszukując kaczek. Towarzystwo polowania zwykłe. 10-cio letni wyżeł półgryfon „Atar" i 3-y letni wilczur, syn prawdziwego wilka „Rem".

Rem na polowaniu nigdy nie przeszkadza, a nieraz bardzo dopomoże, posiada bowiem stosunkowo ogromną szybkość i dużą ciętość. Ma on specjalny sposób bycia; nie wysuwa się naprzód, a podąża za mną powoli, z łbem opuszczonym i ogonem pod siebie, w odległości 20—30 kroków, posiada bystry wzrok i niesłychaną ofiarność przy gonieniu, np. po moczarach — zbarczonej kaczki. W życiu „domowem" jest psem dość niemądrym, nie umie stróżować, goni wszystek inwentarz, jest zażyłym przyjacielem wszystkich podróżnych i włóczęgów, nie pozwala jednak obcemu zaczepić nikogo z domowych. Psy bezpańskie dusi prędko i z zamiłowaniem.

„Atar" natomiast, to stary, wytrawny i wszechstronny legawiec, pies niezawodny — prawdziwy „Gebrauchshund" Jest u mnie od szczeniaka i aby się porozumieć nie potrzeba nam słów.

Otóż owego pamiętnego 9 listopada brnąłem przez bajora ponad torfiskami, szukając kaczek.

Nagle, z kępki zeschłej trawy, w dość dużej odległości, ujrzałem pomykającego lisa. Dwa szybkie strzały Nr. 4-tym śrutu na duży dystans. Stara, bo 25-cio letnia Westley'ka nie zawiodła. Lis się potknął raz, drugi, a potem zwolnił biegu. W tej chwili Rem, jak wicher, przeszedł tuż obok niego. Za nim ciężko galopował Atar. I rozpoczęła się cudowna, wspaniała gra na śmierć i życie. Lis był starym mistrzem (i moim dawnym znajomym). Gdy Rem zbliżał się do lisa, ten robił w ostatniej chwili jakiś nieprawdopodobny ruch tułowiem, po którym był o dwa metry w prawo lub w lewo i jednocześnie zmieniał kierunek.

Biegłem po bagnie co sił, jednak pogoń wciąż oddalała się odemnie. Po paru minutach lis znalazł się obok brogu z sianem. Tam przepadł. Zdwoiłem wysiłki, aby zdążyć do brogu. Było jeszcze ze 300 metrów. Nagle Rem wpadł pod bróg i wygnał stamtąd lisa. Odległość między nim a Remem wzrosła do 50 metrów. Pędzę i co sił w płucach zachęcam psy. Tchu coraz mniej, błoto coraz głębsze. Woda zalewa twarz i strzelbę. Widzę, że stary Atar się skończył i „puchnie", a ze zdławionej gardzieli wydaje jakiś jęk niemocy. Rem jednak znowu jest przy lisie, ale ten jest wprost nieuchwytny, niby jest wszędzie, a właściwie nigdzie go niema. Mimo rany w lędźwie i prawą zadnią nogę, w największym pędzie nagle staje na miejscu, skacze w bok, albo w tył. — Dosłownie w tył. Rem ściga milczkiem, zawzięcie. W pewnej chwili ma już w pysku... kawałek kity lisiej. Biały strzęp. Kochany pies! Wołam, przemawiam cudnemi słowami, jak do kochanki. I gonię.

I znowu blisko lisa chłopski stóg z sianem. Jeden rzut lisa w bok, rzut wspaniały, niedościgły. Znikł pod stogiem. Rem szaleje. Drze zębami siano, skacze na wierzch stogu. Ale już i ja jestem pod stogiem. Cóż dalej? Oblężenie. A w sercu dwa uczucia: o szacunku dla znakomitego przeciwnika i chęci zwycięstwa. Naturalnie zwycięża to drugie! Przecież lis i tak ranny!

Oblężenie. Rem robi podkop, który mu wciąż zalewa woda, Atar pilnuje otworu wejściowego, a ja chodzę dokoła stogu. Stóg ma pod sobą warstwę grubych gałęzi, na których leży ciężkie, zleżałe siano. Pies tam wejść nie może, zwłaszcza pies duży. Próbuję zawołać kogokolwiek. Ale w promieniu $1^1/_2$ km. żywej duszy. Choćby płuca zerwać. Oblężenie trwa więc dalej i polega na tem, że Atar stoi, jak mur, w miejscu, Rem biega szczekając dokoła, a ja biegam również, aby stale być po przeciwległej stronie Rema. Tak mijają dwie godziny. Dwie godziny gonitwy w kółko po bagnie, ze strzelbą gotową do strzału. Kiedy się to skończy? Co przeżywa lis pod stogiem? Trzeba jakiejś decyzji. Strzelam pod stóg, ale śrut więźnie w zbitem sianie. Lisa wciąż słychać. Rema ogarnia szał wściekłości, kopie dalej i już cały leży w wodzie. Nagle wyskakuje z jamy. Pysk mu krwawi. Natychmiast strzelam w otwór, by w paru skokach stanąć z drugiej strony. Zalega cisza. Wychodzę za stóg i widzę martwego lisa, aportowanego przez obydwa psy. Rem przedstawia nieregularną bryłę błota. Oczu nie widać. Przygoda skończyła się więc zwycięstwem psów i człowieka.

A jednak... cześć ci, rudy leśny bohaterze!...

S. S.

NA SKRZEPŁYCH ROZLEWISKACH

Włóczyłem się od szeregu dni po nieznanej mi okolicy. Sznurami śladów pociąłem równe przestrzenie gładkich i skrzepłych błot, przetrząsnąłem gąszcze oszronionych zagajników, a na głowę moją padło wiele śniegowych okiści z wielkich drzew wysokopiennych borów. Towarzyszyły mi wielki podpalany gończak — „Stogłos" i dobra dwururka.

Wychodziliśmy świtaniem, wracając często późną nocą. Łup był różnorodnego rodzaju, lecz jednakiej mniej więcej wartości. Trudno było określić charakter tych terenów, na których polowałem. Nie brakło lasów i to przeróżnych. Gęsta, strzelista sośnina przelewała się w rozległy mszar, pocięty dziesiątkami wodnych rozlewisk, przeświecających z pod śniegów błękitnawą taflą, i upstrzony kępami ostrowków. Nie brakło i pól, okratowanych ścianami zeschłych brzozowych zagajników.



Bronna Góra. Fot. W. Makowski.

„Stogłos" ruszał z nich wielkie siwe, zbielałe od mrozu zające. Naogół strzelałem z powodzeniem. Zawdzięczam to przedewszystkiem doskonale bijącej, wypróbowanej broni. Strzelba to była stara, strzelająca wyłącznie dymnym prochem, ze względu na całość cienkich, dziwacznych luf, ale gdy mój pierwszy dzik załamał się nagle w biegu od jej szczeknięcia — nabrałem dla niepozornej „dziwerówki" ogromnego respektu.

Gościłem u mego przyjaciela kresowego, pana Rafała Polaczkiewicza, właściciela tej majętności. Ale pan Rafał nie mógł polować. Przeżywał okres ciężkiej choroby sercowej. Darzył mnie tylko mnóstwem rad. Realizowałem je wedle możliwości, resztę ciężaru zwalając na „Stogłosa" — geniusza gończych psów. Czwartego dnia pobytu wyruszyłem — jak zwykle — o pierwszym złotym i cudownym brzasku.

Nie czułem mrozu, choć jego natężenie było niepospolite. Ubezpieczony ciepłem obuwiem i futrzanem okryciem, szedłem po nawierzchni skamieniałych śniegów ze wzrokiem, utkwionym w historję śladu lisa. Rysunek łap zwierzęcia był ledwo dostrzegalny, dlatego trudny do analizy. Tropienie utrudnione było ponadto wielką ilości zajęczych śladów.

W pewnej chwili, już na równej oszronioną tylko trawą pokrytej bieli bagna, podniosłem wzrok z wyrazem zupełnej bezradności.

W tej sekundzie doszedł mnie jazgot psa. Na niepokalanie czarnym, świerkowym ostrowiu „Stogłos" ruszył jakąś sztukę. Obróciłem się gwałtownie w tamtą stronę i doznałem wstrząsu, który zresztą szybko minął.

Podnosząc broń, odciągnąłem szybko kurki i strzeliłem z momentalnego przyrzutu. Spłoszony moim gwałtownym ruchem zając wykonał parę fantastycznych kozłów i rozciągnął się na śniegu, wśród srebrnego morza pogmatwanych traw. Po kilku impulsywnych drgnięciach był już całkiem nieruchomy...

Zwolna rytm mego serca stawał się normalny, a od głowy odpływała krew, burząca się pod czaszką, niby musujące wino. A „Stogłos" wciąż naszczekiwał. Jego zwyczajnie spokojny i równy głos przemienił się w nerwowe ujadanie. Pies już dopadał umykającego zwierzęcia, już go widocznie łapał w rzędy spienionych, ostrych kłów, gdy nagle... urwał...

Ruszyłem ostro ku owemu lesistemu wzgórzu, ku granatowej, drzewiastej wysepce wśród morza puchu i bieli.

Pies musiał coś zdusić... kunę?... Biegłem, jakby mi chodziło o medal olimpijski. Tylko że warunki były nieco gorsze. Ostrów zarysowywał się coraz wyraźniej i potężniej. Wkrótce osiągnąłem jego skraj.

Zwolniłem kroku, postanawiając, pomimo zaintrygowania, działać rozważnie. Możliwie najciszej wsunąłem się w gąszcz łozowych krzów, okalających gęstwinę kawałka świerczyzny, podszytej wysokim, ośnieżonym wrzosem. Decydowałem się długo, zanim do lewej lufy (na wszelki wypadek) wprowadziłem kulę...

W pewnej chwili przekradania się przez łozę ujrzałem wrzosy i ruch jakiś nieokreślony w ich plątaninie. Natychmiast całem ciałem przylgnąłem do skrzepłych, skrzypiących śniegów i zrzuciwszy rękawice rozpocząłem dalszy podchód, tym razem... na brzuchu.

Na szczęście wrzosy były wysokie. Ich bronzowa, okapem srebrnych śniegów przykryta ściana, stanowiła niezłą zasłonę... Pełzałem długo, ręce piekły mnie boleśnie i na tle śniegu podobne były do czerwonych, niezdarnych, z zamarzłych rowów wypełzłych raków.

Mróz zabijał we mnie nawet war krwi, który w takich razach potężnieje do rozmiarów prawdziwej burzy, przez której krwawy cień nie widać zarysów realnego świata. Jest to także zrozumiałe dla myśliwego.

Ale teraz zastygło we mnie wszystko, żył tylko upór. Żyła jeszcze — prawda — zła, niepokojąca myśl. Obawiałem się, że pełznę niepotrzebnie. Zwierzę, spłoszone nikłym szelestem, mogło się wynieść. Odciągnąłem

kurki strzelby i wolniutko wywindowałem się na kolana. W tym momencie doznałem uczucia silnego, niezapomnianego nigdy. Serce trzepotało, jak ugodzone.

Pod niskim, ciemno-zielonym świerczkiem leżał dzik. Zwrócony był do mnie tyłem. Widziałem tylko potężny, czarny prawie zad zwierzęcia i gruby kark, obramowany szczeciną. Widocznie coś słyszał, bo ruszał uszami. Należało bezzwłocznie strzelać. Błogosławiłem moment, w którym nabiłem strzelbę kulą. Choć febrycznie trzęsły mi się dłonie (zwierzę miałem na kilkanaście kroków), począłem mierzyć...

Nagle dzik podniósł się gwałtownie i skamieniał. Instynkt powiedział mu widocznie alarmujące słowo... Trochę nerwowo pokonałem opór cyngla. Strzelba przemówiła sucho i przenikliwie... Kolos zachwiał się i ciężko położył na wrzosach. Akurat wtedy, gdy w lufach miałem dwie nowe kule, podniósł się na przednie nogi. Wyglądał przerażająco. Ciemna farba spływała mu po pysku na śnieg. Łeb miał formalnie rozbity kulą. Mimo to małe oczki skrzyły się poprostu od przytomnej, lecz bezsilnej złości.

Ale nie mógł się już ten wielki złośnik poruszyć, trwał tylko w pozie pełnej honoru i ciągłej gotowości do dalszej walki. Spust nacisnąłem dopiero wtedy, gdy w oczach umierającego zwierzęcia dojrzałem błyski bólu i wielką ciszę, wspólną dla wszystkich stworzeń — ciszę śmierci.

Czar tego potężnego zjawiska jest tak zawsze ogromny, że długą chwilę stałem w zupełnej ciszy i bezruchu, słysząc, jak spadają ze świerków okiście, rozsypujące się w powietrzu w migotliwe, błyszczące deszcze.

*

„Stogłos" ruszył widocznie zająca, który „wykiwał" go w plątaninie wrzosów i psisko... zgubiło trop.

A później — na moje szczęście pies pognał gdzieś, widocznie na błoto.

Gdy wracałem do osiedla, radosny i prawdziwie szczęśliwy, doszedł mnie jego gon, który perlił się po śnieżnych zaspach i wsiąkał w kępy ciemnych, wysokich ostrowi, nęcących łowiecką przygodą.

Śniegi śpiewają i dzwonią i dzwonią...

A „Stogłos" goni... Pręży się jego czarne, muskularne ciało, a rytm silnych nóg jest równy...

Podniósł się ze skrzepłego rozlewiska stary, czarny cietrzew i strzepnąwszy skrzydłami — wzleciał...

Tylko śniegi na Polesiu dźwięczą i śpiewają...

RAJMUND MAZURKIEWICZ.

POLOWANIE NA LISY NA „ŚCIANKACH" PODOLSKICH

W południe telegram... wieczorem telefon z Kielc... Kilka zdań urywanych: — „rano przyjeżdżamy... 24-go... godz. 6.00" no i oczywista... rozmowa przerwana, parę „hallo" — cisza!

Ale to wystarczyło — polowanie pojutrze! Polowanie niebyle jakie! — 4 dobre strzelby, 4 dni i wielki znak zapytania... ile lisów?

Aby tylko pogoda dopisała, bo goście zacni, no i aż z Kielc do Czortkowa jadą, a potem: Borszczów, Okopy — szmat drogi! Byle tylko pogoda!

Dzień 23 listopada upływa pod znakiem rozmów telefonicznych, krótkich, zwięzłych, związanych z organizacją, boć tylko dzień czasu, a 4 dni polowania.

Dnia 24-go rano wyjeżdżamy na stację. Są, przyjechali! A pogoda nieszczególna i „Pim" był w zapowiedzi swej nieprzychylny. Kilkanaście minut — małe śniadanie i wyjazd.

Auto, 4 strzelby, błoto, a za kilka minut drobny deszcz. Humory psują się! Dysputa: „Co teraz robi lis, gdzie będzie"... „a może się wypogodzi i wtedy wyjdą z nory"?... „a może przecież i w deszcz kilka zostanie na powierzchni".

O dziesiątej jesteśmy nad Dniestrem. Dwunastu chłopów już czeka, pomimo deszczu. Dobry myśliwy nigdy nie rezygnuje — próbujmy. Mioty długie, wąskie, jak ścianki... naganka idzie dobrze, ale... miny coraz gorsze. Trzeci miot i nic. Źle — lisy w norach.

Kończymy, ale możeby spróbować jeszcze w Olekowcu (tam „podobno" nie pada — pociesza miły gospodarz terenu — kpt. Bielawski) — czas jest... Decyzja: spróbujmy!

Kilkanaście kilometrów i ścianka. Okazuje się, że i tu leje. Panowie myśliwi wiedzą co znaczy deszcz dla lisa!

Dwa pierwsze mioty — znów nic. Nie dajemy jednak za wygraną, koniec końców do zmroku ubijamy 3 lisy. Ciekawe, wszystkie strzela, zresztą bardzo pięknie, pan płk. Surówka. Nic dziwnego — gospodarze gościnni!...

Drugi dzień: silna mgła, jak zwykle w pogodny dzień nad Dniestrem.

Dźwinogród. Pierwszy miot od wsi. Nakazałem nagance bezwzględną ciszę (miot krótki — skały). Na stanowiskach myśliwi stoją blisko siebie, bo wąsko, ale i tak nie widzą się, taka gęsta mgła. Postukiwania naganki już słychać — padają strzały. Rezultat: 3 lisy, prócz tego 1 strzelony wyszedł.

Później słońce... dobry dzień! Rezultat również dobry: rozkład dnia: 11 lisów.

Naturalnie humory bajeczne, jak bajeczna jest również kolacja u pp. Kamińskich w Bożyszkowcach Krótki bridge, nieodzowne badanie nieba (P.I.M. by pozazdrościł!) i spać.

Niestety, jutro już nie tak piękne, mgła „nie chce opaść" — chmurno, ale w rezultacie obchodzi się bez deszczu. Znów dwie ścianki...

Kilka ciekawych momentów. Np. jeden stary lis-pies, strzelany przez 5-ciu myśliwych 9-oma strzałami, dopiero aż na skrzydle spoczął na zrębie skalnym. Piękny okaz. To znów jeden, zanim jeszcze ruszyła naganka, wyszedł z krzaków na pole, posiedział, pomedytował, wrócił z powrotem i zameldował się „na strzał" u mnie. Rezultat trzeciego dnia — 8 sztuk.

Ostatni dzień! Mało czasu, w południe odjazd gości. Cóż poradzić... „Rembertów"!

A więc Skórnia! Dzień ładny, lisy są, ale... trochę za mocna „malinówka" po trzecim miocie!

Pechowata ta „siódemka"! (siódmy kwartał!) — dużo huku i rozmówki:

— Nie rozumiem dlaczego?...

— Sam się sobie dziwię...

— E trzeba było inaczej ustawić — na wysokim lesie...

— Niby właściwie to dobrze były na strzał, ale..

Rezultat — 5 sztuk!

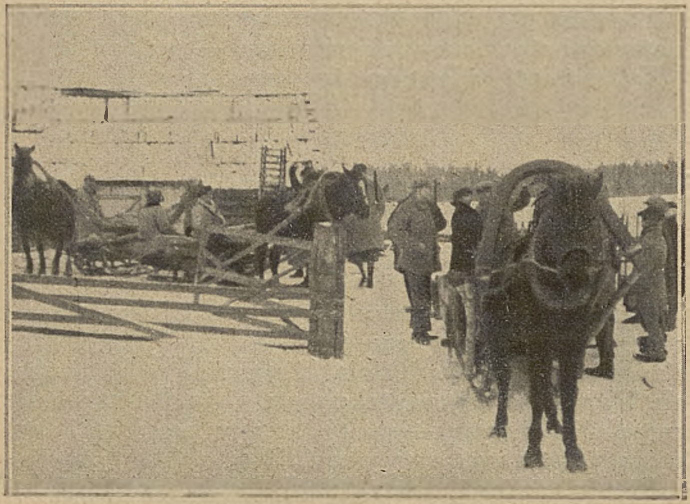
Teren dobry, myśliwi dobrzy, a strzelcy?... Niech świadczy fakt, że dwóch myśliwych strzelało ogółem do 16-tu lisów i 16-cie ubili.

PISAŃSKI,kpt.

Z ŁOWISKA CIETRZEWI

Latem roku 1938 był drukowany w „Łowcu Polskim" długi artykuł pod tytułem: „W obronie cietrzewi i polowań na cietrzewie". Po przeczytaniu go uważnie doszedłem do przekonania, iż właściwie nic w nim nowego niema, a tylko dobrze znane stare bolączki, których dotąd w naszych stosunkach nie można było usunąć, czy też częściowo bodaj zmniejszyć. Uwagi jednak Redakcji w końcu tej pracy bardzo mnie zaciekawiły i zastanowiły, gdyż w swoich wywodach stwierdza ona, iż przyczyny upadku stanu cietrzewi nie zostały jednak wyjaśnione.

Zgodnie z propozycją tejże Redakcji, żeby w tej sprawie zabrali głos i myśliwi-hodowcy, zdecydowałem się podać wyniki mojej gospodarki łowieckiej, odnośnie cietrzewi na pewnym terenie, położonym na Ziemiach Wschodnich, oraz w związku z tem i kilku swoich uwag w tej sprawie.



Z polowań Sportowego T-wa Łow. w Wilnie: Wyjazd. Fot. Inż. E. Woynicki.

Teren, który posiadam, składa się z kilku odrębnych części, połączonych razem: ośrodka ziemi folwarcznej, dalej kompleksu leśnego, ciągnącego się wzdłuż granicy folwarku szerokim pasem, oraz gruntów kilku wsi, graniczących z tamtemi częściami. Obszar ogólny terenu ma przeszło 2200 ha, w tem ziemi folwarcznej 234 ha, lasu i zagajników — 865 ha, reszta są to pola uprawne, łąki i pastwiska przyległych wsi, które stanowią drugą połowę całości.

Teren ten zlepiłem i skompletowałem po długich i żmudnych staraniach już sześć lat temu. W 1-ym roku swojej gospodarki — było to zimą w styczniu — postanowiłem zbadać stan cietrzewi na nowym terenie. Po częstem i długiem jeżdżeniu saniami, stwierdziłem wkońcu, iż cietrzewi może być tam najwyżej 20 sztuk. Kiedy doczekałem wiosny i zaczęły się toki, grających kogutów było ściśle sześć, rozrzuconych na bardzo rozległym terenie. Z tych danych pierwszej zimy i wiosny doszedłem do przekonania, że stan cietrzewi na moim terenie jest bardzo słaby. Z tego też powodu wiosną na tokach na tym terenie nie polowałem. Latem chciałem stwierdzić jak się przedstawia stan młodych po wiośnie ścisłej ochrony. W tym celu z dobrym legawcem osobiście w ciągu tygodnia poznałem dokładnie cały teren lęgowy cietrzewi. Z trudem, w ciągu od 8 — 10 godzin całodziennego chodzenia, z przerwą w południe, można było znaleźć 2 — 3 stadka, gdzie była starka i 2 — 3 młode; pozatem kilka pojedyńczych starych kur i 1 — 2 stare koguty. Tego lata wszystkiego odstrzeliłem 2 młode cietrzewie i 1 starego koguta, razem 3 sztuki. Jesienią i w początkach zimy tego 1-go roku zauważyłem już jakby większą ilość zgrupowanych w stadach cietrzewi. Ze stanu ewidencyjnego jednego dnia wynikało, iż jest do 40 sztuk cietrzewi, w tem do 15-tu starych kogutów. Nie były to, mojem zdaniem, wszystkie cietrzewie z mojego tylko terenu, lecz także i z sąsiednich, gdzie je często różni kłusownicy niepokoili, napędzając do mnie, gdzie miały zupełny spokój. Jeszcze tego roku jesienią zostały odstrzelone na polowaniu z cieniami dwa koguty, w tem jeden stary, drugi tegoroczny.

Na wiosnę 2-go roku stwierdziłem grających kogutów 11-cie, plus 2 — 4 młode zeszłoroczne, które tylko „czuszykały". W połowie maja na tokach odstrzeliłem dwa koguty. Latem w okresie polowania na młode znowu zbadałem dokładnie cały teren lęgowy cietrzewi, przyczem stwierdziłem lekką poprawę w stanie ilościowym. Polując taką samą ilość godzin, jak w 1-ym roku, znalazłem jednego dnia już pięć stadek młodych, z tych w 2-ch stadkach było razem z matką po pięć sztuk, czego w tamtym roku nie było. Oprócz tego miałem jeszcze na strzał trzy stare kury bez młodych i tyleż starych kogutów. Dnia jednego nawet strzeliłem z pod wyżła sześć sztuk, w tem dwa stare koguty. Ogółem w sezonie letnim odstrzeliłem — 12 sztuk młodych, 3 stare kury jałowe i 3 stare koguty, razem 18 sztuk cietrzewi. Późną jesienią i w początkach zimy tego 2-go roku, stwierdziłem większą ilość stałych stad cietrzewi, a także większą ilość sztuk w stadach; według zapisanych obserwacji jednego dnia widziałem pięć stad, a jedno stado liczyło 22 sztuki. Na polowaniach z cieniami strzeliłem jeszcze trzy koguty, razem więc w tym roku było odstrzelone 23 sztuki cietrzewi.

Już na wiosnę trzeciego roku w 1-ej połowie maja było grających 16-cie kogutów i do 5-ciu młodych t. zw. „czuszykaczy". Przeznaczyłem do odstrzału 5, ubito 4 koguty. Latem tego roku stan młodych wykazał już znaczną poprawę: straż naliczyła 14-cie stadek młodych. W sezonie letnim z wyżłem zostało odstrzelone — 23 młode, 3 stare koguty i 1 stara kura jałówka, razem 27 cietrzewi. W tym też roku jesienią na polowaniach z cieniami ubito 4 koguty i zimą z podjazdu 2 koguty; razem w 3-im roku odstrzelono cietrzewi 37 sztuk.

W następnych dwóch latach stan ilościowy cietrzewi już znacznie wzrastał. W 4-ym roku hodowli, uważałem już za możliwe zaprosić wiosną na toki kilku znajomych, również goście brali udział w polowaniach letnich na młode cietrzewie. Ogólnie uznano, iż stan cietrzewi w tem mojem łowisku jest świetny. Ja go uważałem tylko jako dobry.

Teraz jeszcze podam dane o cietrzewiach z szóstego roku mojej gospodarki na tym terenie. A więc wiosną tego roku, jak zwykle w maju, naliczyłem grających kogutów 30-ci, do dostrzału przeznaczyłem 15 sztuk, ubito 12 kogutów. Latem w tym roku odstrzelono z wyżłem razem 58 cietrzewi, a jesienią z cieniami — 5 kogutów; razem w ciągu całego roku ubito 75 sztuk cietrzewi. Ilość cietrzewi pozostałych, na podstawie obliczeń z jesieni tego roku, wynosiła przeszło 100 sztuk. Taki jest wynik mojej gospodarki odnośnie cietrzewi po sześciu latach ostatnich.

Poniżej podaję dwa wykazy, z których jeden przedstawia roczny odstrzał cietrzewi w ciągu 6-ciu lat

i ich ogólną ilość za ten cały okres, drugi mówi o ilości odstrzelonych szkodników w tym samym czasie.

Wykaz odstrzelonych cietrzewi w ciągu 6 lat hodowli.

Rodzaj polowań	Rok hodowlany						Ogółem
	1	2	3	4	5	6	
Na tokach .	—	2	4	6	9	12	33
Z wyżłem .	3	18	27	32	38	58	176
Z cieniami .	2	3	4	4	5	5	23
Z podjazdu .	—	—	2	3	3	—	8
Razem	5	23	37	45	55	75	240

Wykaz ubitych szkodników w ciągu 6 lat hodowli cietrzewi — z całego terenu.

Nazwa szkodnika	Rok hodowlany						Ogółem
	1	2	3	4	5	6	
Pies . . .	18	12	8	5	3	2	48
Kot. . . .	8	9	6	8	6	5	42
Gołębiarz .	6	4	5	3	2	3	23
Krogulec. .	2	3	2	2	4	2	15
Wron. i srok.	26	18	19	22	16	14	115
Różne inne.	2	3	2	1	2	1	11
Razem	62	49	42	41	33	27	254

Jak do tego stanu cietrzewi doszedłem? Bardzo prostym sposobem: twardą pracą w terenie, bez żadnych improwizacji i kompromisów, oraz sentymentów.

Warunki umowy dzierżawnej, co się tyczy przedewszystkiem gruntów wsi, przewidywały, że wypasy bydła na terenach, ściśle oznaczonych w planie, mogą mieć miejsce tylko od 15 lipca, dalej że pasący bydło mają być bezwzględnie bez psów i muszą, będąc na terenach dzierżawionych, podporządkować się zarządzeniom straży łowieckiej. Pozatem w okresie od 15 marca do 15 lipca po terenie wskazanym w umowie nikt nie ma prawa wałęsać się bez pozwolenia, żadnych pozwoleń na zbieranie jagód, grzybów, gałęzi w tym czasie nie wydaje się. Przez pracujących w polu do 1 października nie mogą być zabierane psy.

Straż łowiecka zajęła się ewidencją gniazd skrzydlatych drapieżników, szczególnie gołębiarzy. Stare sztuki były wystrzelane, gniazda zniszczone. Psy i koty wałęsające się w terenie zostały wystrzelane, przyczem w 1-ym roku ochrony padło 18 psów i 8 kotów, a w roku 6-ym tylko 2 psy i 5 kotów.

Okoliczne wsie i osady po 2-ch latach przyzwyczaiły się do zamykania i wiązania psów, gdyż były wsie gdzie ¾ stanu psów padło na moim terenie. Walka z kłusownikami i wnykarzami była tylko w 1-ym roku większa. W tym też roku zostało ujętych 6-ciu kłusowników z bronią i 4-ch pętlarzy; wszystkim broń i wnyki zostały odebrane, a winowajcy sądownie ukarani. Po sześciu latach ochrony, już w 1938 roku nie było żadnej sprawy o kłusownictwo, a wnykarzy ujęto tylko 2-ch, obu nieletnich.

Żadnego podkarmiania cietrzewi na moim terenie nie stosowałem, uważam je zupełnie za zbyteczne i niecelowe w naszych warunkach, a pieniądze na to wydane — za zmarnowane. Na miejscu w terenie jest zupełnie dostateczna ilość wszelkiego pożywienia dla cietrzewi, jeżeli chodzi o późną jesień, zimę i początek wiosny. Klimat u nas przez ostatnie 10-cio lecie tak się zmienił, że często nawet po Trzech Królach niema jeszcze stałej pokrywy śnieżnej, więc dostać się do ziemi nie jest cietrzewiom trudno, a pozatem mają one poddostatkiem jeszcze jagód jałowcowych, oraz szyszek brzozowych i olchowych.



Parostki rogacza, ubitego przez p. T. Wydżgę w maj. Anielówka pow. Kostopol.

Odstrzał starych kur jałowych bezwzględnie musi być przeprowadzany przez samego właściciela, po długiem i dokładnem badaniu. Ja to przeprowadziłem już latem w 2-m roku hodowli. Różnym teoretykom nie mieści się w głowie, skąd mogą być kury jałowe? Służę dobrym przykładem z tegoż terenu. Miałem niedaleko domu młode zagajniki, obszar około 100 ha. Zauważyłem w 1-ym roku w porze lęgowej dwie stare kury, trzymające się prawie jednych i tych samych miejsc. Zacząłem je obserwować stale. Latem tego roku w czasie polowań na młode cały ten teren przeszukałem i nic nie znalazłem, oprócz tych 2-ch kur. Postanowiłem czekać jeszcze rok. W 2-im roku znów było to samo — zawsze zrywały się z kwoktaniem te dwie kury i nic więcej — młodych nie było. Wiosną w pobliżu tych zagajników grały zawsze 2 — 3 koguty i kury były przy nich. Cały ten nieduży teren był jak wymarzony dla młodych cietrzewi. Ochrona tego terenu kompletna, spokój i cisza. Kiedy więc i 2-go lata w początkach sezonu zlustrowałem z wyżłem ten teren i znów nie znalazłem młodych, tylko te same 2 kury, wydałem wtedy na nie wyrok i zostały zlikwidowane. Po zabiciu, u jednej stwierdziłem pewne cechy w upierzeniu, jak u koguta, druga była bardzo jasno upierzona, jakby siwa. Odstrzeliłem tego roku na głównym terenie swoim jeszcze jedną podobną jałówkę, dobrze już też znaną i obserwowaną od 2-ch lat. W trzecim roku latem tam, gdzie były te dwie stare jałówki, znalazłem dwa stadka cietrzewi, a w 6-ym roku było ich już cztery. Mam wrażenie, iż ten przykład powinien przekonać niehodowców, że kury cietrzewi jałowe bywają i że są szkodliwe, gdyż nie pozwalają młodym kurom w pewnym rejonie zakładać gniazd, zmuszając je do opuszczenia tych miejsc. Na potwierdzenie tego mógłbym

przytoczyć jeszcze więcej przykładów ze swojej praktyki hodowlanej. W następnym roku 3-im odstrzeliłem w terenie latem jeszcze jedną podobną jałówkę i później w następnych latach już ich więcej nie stwierdziłem.



Z jesiennych przelotów na Zasumieniu. Fot. A. Dobrski.

Słyszałem nieliczne głosy, propagujące strzelanie latem z pod wyżła tylko kogutów, ja osobiście nie jestem za tem w całej rozciągłości. Stare kury-matki staram się oszczędzać, ale co do strzelania młodych nie mam żadnych zastrzeżeń. Polowanie latem na cietrzewie trwa bardzo krótko, strzały przeważnie są trudne, goście są proszeni o niestrzelanie do starek, nie wprowadzajmy dalszych utrudnień i ograniczeń, bo to w pewnym stopniu nawet może zniechęcić niektórych i do samego polowania, a przecież, jeżeli się kogoś prosi na takie polowanie, to chce mu się chyba zrobić przyjemność. Gdzie tutaj może być o tem mowa. Tego nie można, tamtego nie wolno, to jest wzbronione! Nie, ja takich warunków swoim gościom nigdy nie postawiłbym! Już lepiej w takim razie nie zapraszać zupełnie! Panów specjalistów strzelaczy do „migających cietrzewich, jak moje. Jestem głęboko przekonany, iż, cietrzewich, jak moje, jestem głęboko przekonany, iż, o ile strzelaliby tylko do kogutów, niewiele mieliby ich przy trokach, a natomiast dużo nerwów i zdrowia toby ich kosztowało. Dam inną radę — ograniczyć ilościowy odstrzał w ciągu dnia, jeżeli od tego zachodzi konieczna potrzeba, ze względu na skład osobowy polujących i wielkie ich apetyty. To bezwzględnie da daleko lepsze rezultaty sprawie ochrony cietrzewi.

Co do terminów ochronnych dla cietrzewi — uważam je za zupełnie wystarczające, z wyjątkiem starych kogutów, dla których czas ochronny należałoby znacznie zwiększyć. Natomiast okres letnich polowań na młode, uważam, iż jest minimalny i zmniejszać go niema sensu. Ja na swoich zagospodarowanych terenach, poczynając od 16 sierpnia nie spotkałem nigdy innych młodych, jak farbowiki, lub prawie takie, a „małych kurczaków", jak to niektórzy twierdzą, u siebie nie widziałem. „Kurczaki" spotyka się na dzikich terenach bez dostatecznej ochrony, jako drugi ląg, kiedy pierwszy został zniszczony. Stąd wniosek pod adresem towarzystw łowieckich i lasów państwowych, oraz prywatnych właścicieli terenów cietrzewich, o zapewnieniu im ochrony — przynajmniej w czasie lęgowym.

Teraz chciałbym jeszcze coś nie coś powiedzieć o tak zwanych „najszlachetniejszych" rodzajach polowań na cietrzewie i polowań, które do szlachetnych trudno zaliczyć... Ja osobiście nie uważam, żeby rodzaje polowań na cietrzewie, można było w ten sposób segregować i żeby było to logiczne. Wszystkie rodzaje polowań są jednakowo szlachetne, tylko — jeden warunek przedtem — trzeba wszystkie rodzaje tych polowań znać gruntownie i praktycznie, a nie w teorji, czy też z opowiadania innych. Wtedy nie będzie „najszlachetniejszych" lub „nieszlachetnych", a tylko ładne, przyjemne, lub mniej przyjemne dla danej osoby. Ja znam cztery rodzaje polowań na cietrzewie — na toku, z wyżłem, z cieniami i z podjazdu — i wszystkie uważam, że są ładne. Strzelania na nagankach zimowych do cietrzewi nie uważam za rodzaj polowania, gdyż odbywają się przy sposobności, na polowaniach na inną zwierzynę. Polowania, a właściwie zdobywania cietrzewi zimą z jamek w śniegu, nie zaliczam wogóle u nas do polowań, to dobre może było dla kłusowników, no i w czasach dawniejszych na Syberji, lub w środkowej Rosji. Wracając do tamtych 4-ch rodzajów znanych mi polowań na cietrzewie, nie widzę w żadnym z nich nic nieszlachetnego. Wychodząc z założenia, iż każdy rodzaj polowania na daną zwierzynę jest tem więcej nęcący i pociągający, im zdobycie jej jest trudniejsze, jabym postawił na miejscu pierwszem polowanie na toku (podejście z wabiem), na drugiem — polowanie z cieniami, na trzeciem — polowanie z wyżłem, a na czwartem — z podjazdu.

Tutaj jeszcze jedno podkreślenie, iż oprócz trudności zdobycia zwierzyny, jeszcze ten rodzaj polowania będzie dla mnie ładniejszy, gdzie wszystko zawdzięczam sam sobie, nie muszę tego z nikim dzielić. Np. na polowaniu z wyżłem częściowo powodzenie jest zależne od mojego czworonożnego przyjaciela, dalej w podjeździe cietrzewi zimą powodzenie też w znacznym stopniu zależy od umiejętności i sprytu mego woźnicy. Oprócz tego jeszcze jest jeden ważny czynnik, który każde polowanie, że tak powiem, upiększa— jest to natura. Jest ona piękna zawsze, o każdej porze roku, dnia i nocy, tylko, niestety, nie wszyscy polujący to piękno widzą i są w stanie je odczuć, bo tego daru kupić nie można, ani pożyczyć, trzeba go mieć w sobie. Może wtedy wszystkie rodzaje polowań byłyby jednakowo ładne, przyjemne i drogie?...

Teraz co do przyczyn spadku stanu cietrzewi u nas. Oprócz tych starych, znanych i opisanych już nieraz, mojem zdaniem, są jeszcze inne. Jako pierwszą uważam nadmierną liczbę obecnie polujących u nas. Dru-

gą — zmniejszenie powierzchni terenów lęgowych cietrzewi, wskutek różnych zmian natury socjalnej, jakoteż i gospodarczej. Widziałem sam całe obszary w Nowogródzkiem i Grodzieńszczyźnie, gdzie w ciągu 10—15 lat ostatnich świetne tereny cietrzewie zostały wycięte w pień. Właścicielami ich byli przeważnie włościanie, lub spekulanci, którzy kupowali zadłużone majątki, parcelowali je, robiąc na tem dobre interesy. Wartość tych objektów leśnych była znikoma, gdyż przeważnie były to młode zagajniki. Kto na taką rabunkową gospodarkę zezwolił i czy o tem odnośne władze wiedzą, jest dla mnie tajemnicą, w każdym razie o tych cięciach leśnych, różnie mówiono w tamtych stronach. Z wielką przykrością i ze smutkiem patrzałem, przejeżdżając przez te niegdyś ładne tereny, a obecnie jakby pustynię — podłe pastwiska i nieużytki.

Te dwie przyczyny — wielką ilość polujących i zmniejszenie się terenów lęgowych cietrzewi — uważam za najgłówniejsze. Dalej jako trzecią stawiam wielkie apetyty obecnie u nas polujących panów. Tutaj konieczne są silne hamulce i ograniczenia. Ja np. dopiero w 4-m roku swojej gospodarki na wspomnianym wyżej terenie zaprosiłem gości i to dobrze mi znanych, nie żadnych „strzelaczy". Jednak ze względów hodowlanych też wprowadziłem pewne ograniczenia przy odstrzałach. Między innemi zniosłem zupełnie strzelanie zimowe kogutów cietrzewi w czasie polowań naganowych, nauczony smutnem doświadczeniem, na szczęście nie u siebie, lecz u innych. Obserwowanie nietylko pojedyńczych sztuk, ale i całych stad cietrzewi, lecących z pod naganki na linję strzelców, sprawia wielką przyjemność dla gości, a może jeszcze większą dla właściciela i hodowcy. Poco zaraz koniecznie strzelać do nich?! Jest wtedy inna zwierzyna do strzelania, na którą się poluje. Natomiast być świadkiem tylko, kiedy po takich zimowych miotach i licznych strzałach do cietrzewi później podnoszą 2—4 kury zabite, lub goście sami chowają je, rzucając zabite w gęste krzaki, a straż przy pomocy naganki szybko je znajduje i oddaje gospodarzowi — taki wstręt ogarnia do sprawców tych wyczynów, że u siebie wolałem tego nie widzieć, no i na tem tylko dobrze wyszedłem. Czemu jednak panowie entuzjaści tego rodzaju strzelania cietrzewi o tych przykrych faktach nie wspomną? Może tylko dlatego, że sami nie są hodowcami — myśliwymi?

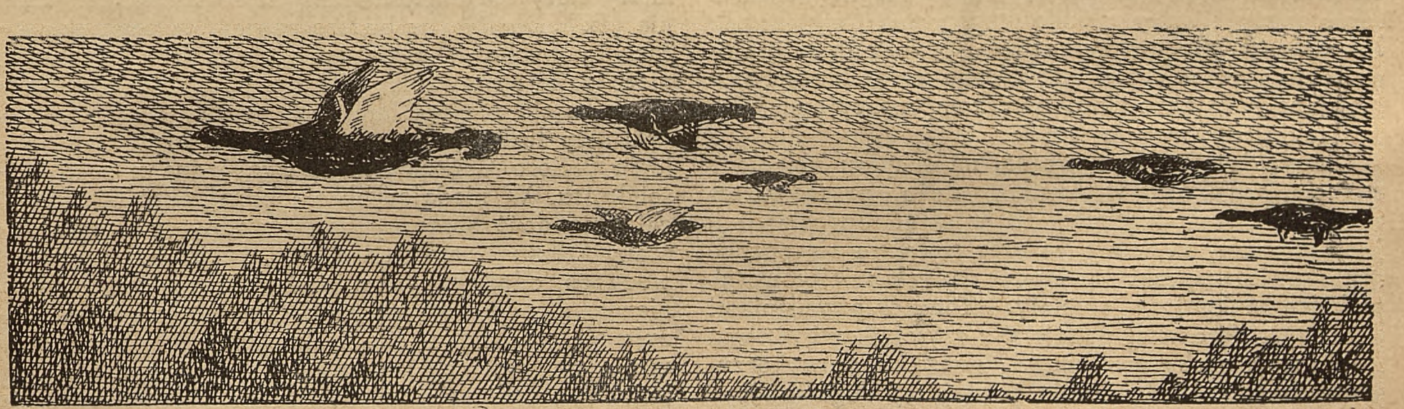
Jako czwartą zkolei przyczynę, więcej ogólną, ale mającą wielkie znaczenie dla naszych zwierzostanów, zaliczyłbym stosunek władz administracyjnych, a szczególnie sądów, przy wymiarze kar za przestępstwa przeciw prawu łowieckiemu. Pomimo różnych zarządzeń i okólników, wydanych w tych sprawach do starostów i sądów, żeby stosować kary w wymiarze niemniejszym, niż połowa kary przewidzianej w ustawie — w praktyce nie jest to stosowane u nas w większości wypadków. Jeszcze gdzie wymierzający karę jest myśliwym, lub interesuje się temi sprawami, przestępcy są karani możliwie przykładnie, ale w innych wypadkach zakrawa to wprost na kpiny i tylko staje się zachętą do dalszych, coraz liczniejszych i gorszych wykroczeń. Te sprawy i ich traktowanie najwięcej i najsilniej odczuwają hodowcy-myśliwi. Trzeba mieć dużo hartu i energji, oraz silnej woli, żeby nie zniechęcić się do dalszej pracy na polu łowieckiem.

Jeszcze dodałbym do tego jako piątą przyczynę — znikomą ilość prawdziwych hodowców zwierzyny, której upadek stanu ilościowego został stwierdzony, szczególnie na naszych Ziemiach Wschodnich. Tymczasem nietylko swoje apetyty trzeba możliwie zaspokoić tutaj na miejscu, lecz także innych, którzy w różnych okresach roku ciągną do nas ze wszystkich stron kraju. Są to amatorzy przeważnie z dewizą: „użyć sobie i nastrzelać się", zwabieni często przez różne modne obecnie reklamowe agencje.

Więc jak w takich warunkach wyhodować i uchronić posiadaną jeszcze tutaj u nas zwierzynę? Ponieważ prawidłowo zagospodarowanych i znających się na hodowli zwierzyny towarzystw, czy też kółek, u nas na ziemiach tych ja osobiście nie znam, chociaż strony te znam dobrze, więc pracę nad podniesieniem stanu naszej zwierzyny, szczególnie tej zagrożonej spadkiem, jak np. cietrzewie i pardwy, może wykonać w obecnych czasach tylko zamiłowany hodowca-myśliwy i właściciel prywatnych terenów. Ale trzeba, żeby takich było więcej, coraz więcej u nas!

Obecnie, jak uważam, mamy przewagę wielką teoretyków. To też na zakończenie radziłbym szczerze niektórym panom, piszącym na poważne tematy hodowlano-łowieckie, zająć się przedtem hodowlą zwierzyny w granicach swoich możliwości, a dopiero po latach takiej gospodarki, zdobywszy już może pewien zasób wiedzy praktycznej, podzielić się z nami w prasie fachowej rezultatami tych swoich zdobyczy.

HENRYK BUSZYŃSKI.





Dropie. Józef Chełmoński.

MOŻLIWOŚCI ŁOWIECKIE JUGOSŁAWJI

W dzisiejszych czasach chińskich murów, ograniczających w tak przykry i dotkliwy sposób dawną przedwojenną swobodę podróży zagranicę, Jugosławja, dzięki niskiej walucie i układom kompensacyjnym z Polską, stała się jednym z najłatwiej stosunkowo dostępnych nam krajów. To też liczne rzesze polskich turystów zwiedzają rokrocznie wybrzeża dalmatyńskie i większe miasta obecnej Jugosławji, która, jak wiadomo, w następstwie wielkiej wojny wchłonęła w siebie duże połacie dawnych Austro-Węgier, mianowicie: część połudn. Węgier, Kroację i Słowenję, Dalmację, Bośnię i Hercegowinę z Sandżakiem, jak i dawne państwa Czarnogórskie i Serbskie.

Rzesze turystyczne zadowalają się zazwyczaj mozolnem zwiedzaniem miejscowych osobliwości i dość banalnemi rozrywkami kąpieliskowemi. Żal mi zwłaszcza braci w św. Hubercie, którzy mogliby okrasić sobie trudy i nudy pseudo-turystyczne wyprawami łowieckiemi, nie wątpię bowiem, że leży to w granicach możliwości. Biura turystyczne bez trudności mogłyby na podstawie układów rekompensacyjnych ułożyć takie wyprawy łowieckie.

Służąc dawno przed wojną, na schyłku ubiegłego stulecia, wojskowo w Austrji, dużo przebywałem w krajach, wchodzących dziś w skład Jugosławji i, jako zapalony myśliwy, zawsze starałem się poznać gruntownie warunki łowieckie danych miejscowości, w które mnie losy zagnały. Temi wspomnieniami chciałbym się dzisiaj podzielić z czytelnikami „Łowca Polskiego", ażeby zwrócić ich uwagę na niewykorzystane możliwości łowieckie dzisiejszej Jugosławji.

Zaczynam ten przegląd od północy. Słowenja, dawniejsze księstwo Krain, jako część zlepku austrjackiego, przedstawia od północy kraj górzysto-lesisty, przechodzący na południu w nagi kras. Mniej więcej w środku kraju leży stolica Lublana, wśród rozległych torfowisk. Dalej, wzdłuż linji kolejowej do Triestu, przed stacją Logatec wstępuje się w rozległe lasy państwowe, graniczące z większym jeszcze kompleksem lasów majątku Ks. W. Ciągną się one na południe aż do Postojny (dawny Adelsberg). Dojeżdżając do małej stacji Rakek, przed Postojną — obecnie granicą włoską — widzi się na zachodzie nagi szczyt góry Nanos, na wschodzie lesiste pasmo Jawornika. Były to góry graniczne państwa Ks. W. Znam ten zakątek, jak mało który, gdyż razem z moim kuzynem, synem Ks. W., stawiałem pierwsze moje kroki na polu łowieckiem, zjeżdżając tam co roku ze szkół na wakacje.

Dawne to czasy, bo przed r. 90 zeszłego stulecia. Czego tam nie było! W ogromnych zaszanowanych lasach roiło się od sarn, lesiste stoki góry Jawornika miały stały stan niedźwiedzi, które zwłaszcza jesienią przychodziły i w bliższe rewiry. W lesistych górach były tokowiska głuszców i mnóstwo jarząbków, nierzadkim bywał żbik, wilk był już tylko wspomnieniem, często rozlegał się nocą ponury zew puhacza.

U stóp lesistego pasma Jawornika błyszczało rozległe jezioro Cerknickie. Jest to jedna z osobliwości krasu. W niedających się bliżej określić porach cały ten dość obszerny basen wodny, mający miejscami kilkunastometrowe głębie, pełen ryb i ptactwa wodnego, odpływa przez lejkowate otwory w jakieś nieznane podziemne zbiorniki. Na miejscu wód ukazuje się suche dno. Nie widziałem nigdy tego fenomenu odpływu czy przypływu, ale widywałem Cerknickie jezioro nawodnione i suche. Gdy jezioro było nawodnione, roiło się tam od kaczek i wszelkiego ptactwa błotnego. Zimą bywały tu łabędzie.

Na zachodzie od zamku Ks. W. przez obszerne błonia przepływa rzeka Unz. Biegu jej nadziemnego jest

wszystkiego parę kilometrów. Wypływa z podziemi i koło wsi Planina znów wstępuje w pieczarę. Ta sama rzeka, dwukrotnie nurkując pod ziemią, trzy razy zmienia nazwę i jako Lublanica, przepływając koło Lublany, wpada do Sawy. Zamieszkują ją duże pstrągi i raki, jakich nigdzie nie widywałem, wielkości średnich homarów. Majątek Ks. W. dochodził prawie aż do Postojny (Adelsberg) z jej słynną grotą. Jednakże w lasach, ciągnących się na południe ku Jawornikowi, mnóstwo było grot i pieczar, potoków i wód podziemnych, ciekawszych od ogólnie dostępnej groty w Postojnie.

Majątek Ks. W. z jego zaszanowanemi lasami, wysokopienną buczyną w niższych partjach, sosną i świerczyną w górach, pokazywał kras w swej przyrodzonej, bujnej południowej szacie. Ręka ludzka zrobiła z niego pustynię i pozostawiła trupi, słońcem spalony kościec. Rozpoczęli to zniszczenie Rzymianie, a dokończyli Wenecjanie, którzy splądrowali Istrję i całe wybrzeże dalmatyńskie w poszukiwaniu budulca dla swojej floty. Tragedją krasu jest nieodwołalność raz rozpoczętej dewastacji. Tam, gdzie wycięto starodrzew, deszcze spłukały skąpy podkład czerwonej, urodzajnej ziemi, pozostawiając nagą opokę wapienną. W charakterystycznych, lejkowatych dołkach, gdzie jeszcze trzyma się ziemia, rosną krzaki i ciernie, obgryzane i strzyżone przez wszędobylskie owce i kozy biednych mieszkańców.

Wszystkie usiłowania fachowych leśników austrjackich, dążące do ponownego zalesienia krasu, rozbijały się o te dwie przeszkody: wyjałowienie gruntu i niemoc upilnowania zaczątku kultur od bydła. Tam, gdzie jeszcze przetrwało zalesienie, uderza przyrodnika obfitość, bogactwo i różnorodność fauny i flory.

Oprócz wymienionych już gatunków zwierzyny typową dla południ. Słowenji jest pilch czyli popielica. Małe to, tajemnicze zwierzątko znane jest ogólnie chyba tylko kuśnierzom ze względu na swoje piękne popielate futerko. Nawet gdzie ich jest dużo, mało kto się niemi interesuje. Jest to wyłącznie nocne stworzenie, którego w dzień prawie nigdy nie widać. Mały ten gryzoń, z kształtu i rozmiarów zupełnie podobny do wiewiórki, różni się od niej popielatem futerkiem, ogromnemi czarnemi oczami i tem, że choć bardzo zgrabnie biega i wspina się po drzewach, nie skacze, jak wiewiórka. Pilchy czyli popielice mieszkają zwykle po kilka razem w dziuplach starych drzew. Cały dzień przesypiają, a także w czasie pory zimowej zapadają w odrętwienie, jak niedźwiedź lub borsuk.

Dla nas, którzy za szkolnych czasów z pojedyńczą pistonówką w ręku zaprawialiśmy się w arkanach łowiectwa, pilchy stanowiły „grubą zwierzynę". Skradając się w rannych godzinach wśród leśnego starodrzewia, zatrzymywaliśmy się koło starych buków, których dziuple obiecywały obecność pilchów. Obsłuchiwaliśmy takie obiecujące drzewa. Pilchy, drzemiące w gnieździe, pomrukują z zadowolenia, podobnie, jak wygrzewające się koty. Usłyszawszy takie odgłosy, staraliśmy się ruszyć zwierza przez opukiwanie pnia, lub szturchanie gałęzią w dziurę. Zwykle udawało się w taki sposób wypędzić jednego lub kilka pilchów. Wybiegały na drzewo i kryły się w gałęziach, ciasno przywarowując do szarej kory bukowej. Niełatwo je było wypatrzyć. Ale cóż się ukryje przed bystrem okiem młodego chłopca! Szybko więc następował koniec dramatu: długie celowanie z pojedyńczej kapiszonówki, huk, chmura dymu i upadek biednego szarego zwierzątka.

Pilchy zresztą były dla nas grubą zwierzyną, na którą polowaliśmy względnie rzadko. Główną i powszechną naszą zdobycz stanowiły srokosze średnie, które w ogromnych ilościach zamieszkiwały cierniste krzaki, rosnące na gminnych pastwiskach. Można tam było obserwować ich zwyczaje i sposoby bytowania. Ciekawe są zwłaszcza ich spiżarnie, w których nadziewają na kolce swoją zdobycz: chrząszcze, różne drobne owady, robaki, czasem nawet noworodki ptasie i drobnych ssaków. Tak więc, zdobywszy poniekąd miano szkodników, srokosze zasługiwały na to, żeby stać się przedmiotem pierwszych popisów młodych sztubaków na polu łowiectwa.

Było tam w zwyczaju, że przyrządzano nam do obiadu zabitą przez nas zwierzynę. Zjadaliśmy tedy ogromne ilości srokoszów w cieście, pieczyste z sójek lub pilchów. Zwłaszcza pilchy były znakomite. Niedarmo chwalili sobie, sprowadzali i chowali je wielcy smakosze, starożytni Rzymianie.

Jest jeszcze jedna specjalność tamtejszego krasu, na którą polowaliśmy w późniejszych latach, kiedyśmy już od kapiszonówek przeszli do podwójnych, od tyłu nabijanych lankastrówek, próbując pierwszych strzałów do lecącej i biegnącej zwierzyny. Są to gołębie skalne, jasno popielate, wielkości turkawki, o nadzwyczaj bystrym i szybkim locie. Gołębie skalne gnieździły się tam masowo w licznych grotach i pieczarach skalnych. Wcześnie rano wylatują z pieczar w pola na żer i wracają, kiedy słońce zachodzi. Zawsze jednak można spotkać kilka, podchodząc ku wejściu pieczary. Zdaje mi się, że są to te same gołębie, które używano dawniej w Monte Carlo dla wstrętnego *tir aux pigeons*.

Ale za długo zatrzymaliśmy się w tych stronach i czas przenieść się w inne zakątki Jugosławji. Cóż, kiedy same cisnęły się na pióro te wspomnienia wczesnej młodości, kiedy właśnie tam terminowałem w służbie św. Huberta, od srokoszów do rogacza włącznie.

Po skończeniu szkół wstąpiłem zawodowo w wojskową służbę austrjacką i odbywszy 3-letnią szkołę techniczną, otrzymałem rangę podporucznika. Pierwszym moim garnizonem był Zagrzeb, ówczesna stolica Kroacji i Slawonji. Przybywszy do pułku, dowiadywałem się o stosunki łowieckie. Mało było w pułku myśliwych, ale dobrze trafiłem, gdyż właśnie mój komendant baterji należał do tych nielicznych wybranych i zaraz zapisał mnie w poczet członków towarzystwa łowieckiego.

Pokazało się, że mieliśmy łowisko, kilkaset ha zniszczonego lasu, raczej krzewów naturalnego odrostu, pola i zalewnych łąk kilkanaście km. na południowy wschód od miasta. Czynszu płaciliśmy za ten teren gminny kilkanaście koron rocznie. Rychło przekonałem się, że zwierzyny, ściśle mówiąc, nie było w naszem łowisku, poza kilkoma zającami w lesie. Mieliśmy natomiast jedną pociechę, która opłacała lichy stan zwierzyny, mianowicie nalot słonek jesienią i wiosną. W sezonie przelotów jesiennych i wiosennych brało się z pobliskiej wsi kilkunastu chłopców z kołatkami i zajmowało się małe mioty, nie więcej jak 100 kroków długości. Ledwo chłopcy ruszyli w krzaki, już rozlegały się wzdłuż linji huczków okrzyki: „sluka, sluka", zaś na linji myśliwych rozbrzmiewały strzały.

Poznałem się z czasem także z okolicznem ziemiaństwem horwackiem. Byli to po większej części drobni właściciele i lasy ich niewiele były lepsze od dzier-

żawionych przez nas krzaków. Toteż prócz kilku zajęcy i lisów, których gdzieniegdzie bywało mnóstwo, główną radością myśliwego były słonki, pozatem zaś na zalewnych łąkach nad rzeką Sawą chmury kaczek, na które polowaliśmy głównie w sierpniu. Słonek była taka obfitość, że, mogąc się uwolnić od zajęć służbowych prawie tylko od soboty w południe do poniedziałku rano, w sezonie przelotów miałem prawie zawsze jakieś 40 sztuk na rozkładzie. Polując w 5—6 strzelb z 15 — 20 huczkami, ubijaliśmy 30 do 50 słonek. Miłe urozmaicenie słonczych miotów stanowiły lisy, a czasem żbik.

Przypuszczam, że i dziś nietrudno i tanim kosztem możnaby w najbliższej okolicy Zagrzebia w czasie sezonowych przelotów zorganizować jakiś tydzień polowań na słonki w tem jedynem na świecie eldorado słonkowem.

Po kilku latach pobytu w Zagrzebiu zostałem przeniesiony do Mostaru w Hercegowinie. Było to na przełomie między XIX a XX stuleciem. Niesłychana mieszanina ras i ludów, zamieszkująca Bośnię i Hercegowinę, te nominalnie jeszcze sułtańskie dziedziny, trzymana była wojennym rygorem. Wszystko tu jeszcze było tymczasowe, niedociągnięte i nierozwinięte. Oficerowie i urzędnicy cywilni uważali przeniesienie do tych okupowanych krajów za rodzaj wygnania. Przydzielenia służbowe bywały na krótki czas, tak iż ludzie żonaci przeważnie nie zabierali swych rodzin i żyli po kawalersku. Co do mnie, powitałem moje naznaczenie radośnie, jako miłą odmianę w jednostajnej służbie wojskowej i cieszyłem się, że poznam nowy kraj, obyczaje i przyrodę.

W przeciągu roku, który spędziłem w Mostarze, miałem sposobność poczynienia ciekawych spostrzeżeń etnologicznych, przyrodniczych i innych, śpieszę jednak powrócić do mego tematu, t. j. do miejscowych warunków łowieckich.

Prawodawstwo łowieckie, dotyczące tureckich dziedzin, okupowanych przez Austrję, było za moich czasów równie prymitywne i tymczasowe, jak prawie wszystkie inne urządzenia tych krajów. Zabraniało ono tubylcom w ogólności noszenia broni. Oficerom i urzędnikom wolno było polować na obszarze całego kraju, z wyjątkiem dość licznych obszarów rezerwowanych, gdzie wszelkie polowanie było bezwzględnie wzbronione. Rezerwaty te służyły jako łowiska dla arcyksiążąt i wysokich dostojników. Czasy dozwolone dla polowania i ochronne określone były w nader prosty sposób. Polowanie na wszelką zwierzynę zaczynało się 18 sierpnia, w dzień urodzin starego cesarza, i kończyło się 1 marca.

Fauna Bośni i Hercegowiny jest bogata i rozmaita. Bośnia, to kraj górzysty, o średniem wzniesieniu i górach, pokrytych mało trzebionym pierwoborem, mieszanym w dolnych, iglastym w górnych częściach. Najwyższe wzniesienia ponad granicę lasów leżą na pograniczu hercegowińskiem. Hercegowina, uboga w lasy, uprawna tylko w dolinach, nazwanych „polje," przedstawia nagie, skaliste łańcuchy wysokogórskie, o łamanych, ostrych szczytach, charakter gór krasowy, zbocza porosłe krzewami, wśród których przeważają granaty, różne cierniowce i mirty. Lasy Bośni zamieszkują liczne sarny i dziki, pierwotne i potężne. W wyższych łańcuchach górskich jest sporo kozic, większych i roślejszych, niż alpejskie. Z drapieżników nierzadki — niedźwiedź i wilk, rysi niema, żbiki rzadkie, dość pospolite lisy i kuny, zające mało. Z ptactwa łownego najliczniej reprezentowane kuraki leśne: głuszce, cietrzewie i jarząbki, w dolinach trochę kuropatw szarych i skalnych. Ptactwa wodnego mało. Z drapieżnych różne rodzaje orłów, jastrzębi i sokołów, dużo puhaczy.

W Hercegowinie fauna prawie ta sama, brak dzików i mniej kuraków leśnych, jako że lasów mało, w górach ponad zwykłą kuropatwą przeważa kuropatwa czerwona, pstro upierzona, o czerwonych nóżkach. Śliczny to ptak i piękny jest strzał do bystrolotnych kuropatw czerwonych, lecz polowanie męczące w straszliwym skwarze, wśród promieniujących skał wapiennych. Fatalny jest przytem zupełny brak wody, tak iż wyżły prędko ustają, dobrze zatem mieć ze sobą konia jucznego z baryłką wody dla psów.

Dwa znane mi w Hercegowinie wielkie bagna: „Mostarsko blato" na zachód od Mostaru i „Gabela" na południowy zachód od Mostaru, blisko ujścia rzeki Narenty do morza, gromadzą tysiące przeróżnego ptactwa błotnego. Zwłaszcza bagna koło ujścia Narenty zamieszkują chmury różnych rodzajów kaczek. Bywają tam także kormorany, łabędzie i pelikany. Mostarsko blato obfituje w rozmaite bekasy i brodźce. Obydwa te bagna są łatwo dostępne kilkogodzinnym dojazdem kolejowym z Dubrownika.

Charakterystycznym ptakiem dla Hercegowiny jest sęp, znajdujący się tu w kilku odmianach. Prawie wszędzie widać tych wspaniałych lotników, jak ledwo dostrzegalnemi ruchami ogromnych skrzydeł wysoko krążą, wypatrując padlinę. Podchodząc kiedyś kozice w masywie Velesz Planina, na wschód od Mostaru, widziałem także sępa łomignata *(Gypaëtus barbatus)*, rzadkiego już w Alpach, a częściej trafiającego się jeszcze w Bałkanach. Zimą, w dolinach pośród krzaków cierniowych, można nieraz znaleźć licznie zimujące tu słonki.

Nie wiem, jakie obecnie obowiązują przepisy łowieckie w Jugosławji. Prawdopodobnie w łatwo z uzdrowisk dalmatyńskich dostępnej Hercegowinie łowiska należą przeważnie do rządu i nie wątpię, że chętni polowań turyści mogliby łatwo otrzymać odnośne pozwolenia. Zresztą za pośrednictwem biur podróżniczych możnaby, na podstawie wzajemności turystycznej, osiągnąć urządzenie indywidualnych i towarzyskich wypraw łowieckich. Należałoby to do wzajemnej propagandy turystycznej obydwu krajów: Jugosławji i Polski.

Jedna jeszcze istnieje możliwość na terenie Jugosławji. Powyżej ujścia Drawy do Dunaju ciągną się ku północy nad brzegiem Dunaju bagniste i mało dostępne lasy. Zamieszkiwała te lasy rasa jeleni, niczem nie ustępująca jeleniom karpackim. Znaczna część tych lasów należała do majątku Belye, który należał ongiś do arcyksięcia Albrechta, później do arcyksięcia Fryderyka, jeżeli się nie mylę. Inna część tych lasów, koło miasteczka Apatin, była zdaje się rządowa. Dzierżawił te łowiska przez długie lata mój wuj Ks. W. Nieraz miałem sposobność podziwiać kapitalne wieńce ubitych tam jeleni i fenomenalne ich zrzuty. Pamiętam 2 wieńce o 22 i zrzut o 24 odnogach. Jeleń ubity w Belye otrzymał rekord wystawy łowieckiej wiedeńskiej z 1910 r. Obecnie Belye, jak słyszałem, przeszło w posiadanie jugosłowiańskiego domu panującego, może jednak być, że w sąsiednim Apatinie można kupić odstrzał od rządu. Są to w każdym razie trofea, o możliwość zdobycia których wartoby przeprowadzić ściślejszy wywiad.

Jakie są warunki na obszarze dawniejszej Serbji, nie wiem, gdyż nigdy nie zwiedzałem tego kraju. Słyszałem jednak, że są tam możliwości polowania na jelenie i dziki.

LEON RZYSZCZEWSKI.

MIĘSO DZICZYZNY JAKO CZYNNIK CHOROBOTWÓRCZY DLA CZŁOWIEKA

Z Ambulatorjum Weterynaryjnego w Łunińcu

W naszym kraju, gdzie polowania dają poważny materjał mięsny, zarówno dla użytku prywatnego myśliwych, jakoteż dla sklepów i restauracyj, sprawa higieny mięsa zwierząt dzikich, nabiera większego znaczenia. Zainteresowane tu jest zdrowie myśliwego oraz konsumenta dziczyzny. Zwierzęta, będące celem polowań, są bardzo często dotknięte chorobami, przenoszącemi się na człowieka drogą przewodu pokarmowego (mięso), oraz przez skórę, w razie skaleczenia jej przy oprawianiu. Niektóre z tych chorób, jak tularemia, włośnica, wąglik, są dla człowieka często śmiertelne.

Ponieważ narazie przykładają nasi myśliwi zbyt mało uwagi do kwestji higieny mięsa dziczyzny, chcę tym zwięzłym artykułem zapoznać czytelników z najważniejszymi chorobami dziczyzny, ze skutkami zakażenia dla człowieka, oraz ze sposobami zapobiegania schorzeniom i zatruciom mięsnym.

U dzików, podobnie jak u świni domowej, występuje często w okresie letnim i jesiennym pomór i zaraza świń. Groźne te zarazy przenoszą się na dziki ze świni domowej za pośrednictwem wody, karmy i t. p., a bywa też odwrotnie, że dziki są źródłem epizoocji wśród świń. Miałem sposobność obserwowania pomoru wśród dzików na Polesiu, gdzie przybierał groźne rozmiary i dewastował zwierzostan.

Obie te choroby przebiegają ostro, z wysoką gorączką, osłabieniem, które szybko prowadzi do śmierci. Choroba atakuje zarówno młodzież, jak i starsze sztuki. Innym razem zaraza przebiega chronicznie, doprowadzając dziki do wysokiego charłactwa. Sztuki chore, osłabione, bywają często celem strzału myśliwego. Mięso ich może stanowić poważne niebezpieczeństwo dla zdrowia ludzkiego, bowiem w przebiegu pomoru i zarazy często ma miejsce infekcja paratyfusowa, wywołująca u człowieka po zjedzeniu mięsa, nawet gotowanego, ciężkie objawy durowe.

U dzików, zdarzają się bardzo często wągry i włośnie. Wągry są postacią młodocianą tasiemca (soliter) i dostawszy się wraz z mięsem do przewodu pokarmowego człowieka, wyrastają w długie, niszczące organizm tasiemce. Niebezpieczniejsze dla życia i zdrowia są trichiny. Żyją one w mięśniach dzika, są bardzo oporne na gotowanie, wędzenie, solenie, zaś dostawszy się do przewodu pokarmowego człowieka, rozmnażają się i albo wywołują ciężką ogólną chorobę jelitową, prowadzącą do śmierci, albo usadowiają się w mięśniach człowieka, powodując ciężkie, trudno uleczalne reumatyzmy. *)

Przeżuwacze leśne: sarny, jelenie, łosie, bywają dotknięte innemi chorobami. Występuje u nich zaraza bydła i dziczyzny, groźna zarówno dla bydła, jak i dla przeżuwaczy dzikich. Występuje najczęściej w postaci ostrej gorączkowej, tworząc obrzęki pod szczęką dolną, na podbrzuszu. Zwierzęta albo giną, albo chorobę przetrzymują, będąc długi czas w stanie osłabienia. Zwierzęta chore dają się łatwiej upolować. Mięso może być dla człowieka szkodliwe. W literaturze niemieckiej spotyka się liczne opisy wągrzycy u sarn i jeleni. Wągry te są niemniej szkodliwe dla zdrowia człowieka, wytwarzając w jego jelitach dające się z trudnością usunąć tasiemce. U przeżuwaczy zdarzyć cię może wąglik, którego niebezpieczeństwo dla człowieka jest znane.

Ptactwo dzikie: kaczki, głuszce, kuropatwy i in. bywają dotknięte cholerą drobiu, oraz innemi, bliżej dotąd niezbadanemi chorobami, przedstawiającemi pewne niebezpieczeństwo dla zdrowia człowieka.

U wilków, lisów, oraz kotów leśnych, zdarza się wścieklizna; ogólnie uważa się zwierzęta leśne za źródło wścieklizny psa. Zwierzęta chore giną, zaś ludzie, zajęci przy ściąganiu skóry, mogą uledz zakażeniu.



Z bażantarni w Młochowie Eryka hr. Kurnatowskiego.

Z chorób zaraźliwych zwierząt dzikich, najniebezpieczniejszą dla człowieka jest pomór zajęcy albo tularemia. Już dawno stwierdzano częste wypadki śmiertelnych chorób u myśliwych oraz osób handlujących dziczyzną, jednakże nie znano przyczyny tych chorób, a rozpoznawano najczęściej ciężką postać grypy czy influenzy. Pierwszy Mc. Coy w r. 1911 zauważył zaraźliwą chorobę wiewiórek w lasach Kalifornji (Tulare). Najpierw wiewiórki, potem zające i gryzonie polne ginęły masowo. Dokładniejsze badania stwierdziły, iż przyczyną zarazy jest bakterja tularemii. Wślad za zarazą gryzoni leśnych pojawiły się liczne wypadki zachorowań wśród myśliwych i kłusowników, i to w okresie polowań na zające. W U. S. A. i Kanadzie zachorowało przeszło 6000 ludzi (duża konsumcja mięsa zajęczego!), zaś zmarło około 300. Odtąd zaczęto szczegółowo badać zarówno zwierzęta leśne, padające masowo, jakoteż myśliwych chorych, i w rezultacie stwierdzono tularemię w całej Europie.

Jest to zaraza: zajęcy, dzikich królików, wiewiórek, chomików, szczurów, która także za pośrednictwem owadów: bąków, komarów, pcheł i kleszczy, przenosi się na lisy, owce, dzikie ptactwo, szczególnie kuropatwy, kaczki i in. Nie znamy dotąd objawów chorobowych u dziczyzny, natomiast głównie obserwuje się osłabienie i szybką śmierć. U padłych zajęcy na tularemię można obserwować silne wychudzenie, obrzęki, silnie powiększoną śledzionę i wątrobę.

Człowiek zaraża się łatwo po zjedzeniu mięsa zająca lub ptaka chorego, lub jeśli rękami, na których zawsze istnieją ubytki lub ranki, oprawia zająca. Zające i króliki chore stają się bardzo łatwo łupem myśliwego; z łatwością chwyta je wtedy pies, czego nie

---

*) O chorobie jelit i reumatyzmie, jako skutkach zarażenia trichinami, nie słyszeliśmy. (Przyp. red.).

uda się zrobić ze zwierzęciem zdrowem. Chore zwierzęta dają się też łatwiej ustrzelić.

U człowieka choroba zjawia się po 1 — 10 dni od chwili zakażenia wśród objawów: bóle głowy, wymioty, bóle w całem ciele, gorączka, zaburzenia oczne, często śmierć. Zakażenia tularemią są częste w laboratorjach bakterjologicznych, gdzie hodują się gryzonie. Jak wielkie jest wtedy niebezpieczeństwo, stwierdza ustawa niemiecka, która reguluje badania nad tuleremią analogicznie, jak przy dżumie, cholerze i nosaciźnie.

Powyżej podałem tylko szkic tego niebezpieczeństwa, jakie czyha na zdrowie człowieka, w 1-ym rzędzie łowcy, ze strony zwierząt łownych. Pragnę jeszcze podać ogólne wytyczne dla zapobiegania zakażeniu człowieka.

Przedewszystkiem poszczególne towarzystwa łowieckie winny nawiązać bliski kontakt z miejscowymi lekarzami weterynarji i, w razie zauważenia jakiejkolwiek choroby zaraźliwej wśród dziczyzny, zasięgać jego opinji. Przypominam, iż dla celów wykrywania chorób zaraźliwych dziczyzny utworzono w Białowieży jedyną w Polsce — Państwową Pracownię Rozpoznawczo-Weterynaryjną, dokąd przez pośrednictwo lekarza należy kierować materjał podejrzany. Szczególny nacisk należy położyć na zarazy gryzoni, zarówno leśnych, jak i polnych. Z chwilą stwierdzenia przez Pracownię w Białowieży tularemii, należy natychmiast zawiadomić o tem towarzystwa łowieckie, by pouczyły i ostrzegły swych członków. Majątki i tow. łowieckie, nie powinny używać do karmienia mięsożernej dziczyzny padliny koni lub bydła, padłych wśród objawów nagłych i niejasnych. Przyczyną śmierci może być wąglik, który potem przenosi się na dziczyznę, a stąd na człowieka.

Ważną sprawą jest badanie lekarskie mięsa uzyskanego z polowań. Pod tym względem myśliwi postępują naogół bardzo lekkomyślnie. W imię ochrony zdrowia przed ciężkiemi chorobami, winno się każde zwierzę poddać badaniu lekarza wet. np. tego, który jest w stałym kontakcie z tow. łowieckiem danego rejonu łowieckiego.

Poza wymienionemi chorobami zatrucie mięsem dziczyzny może dojść do skutku i inną drogą, bardzo często spotykaną. W przewodzie pokarmowym zwierząt istnieje cała masa drobnoustrojów chorobotwórczych dla człowieka, które za życia zwierzęcia nie mogą przeniknąć do krwi lub mięsa. Dopiero po śmierci, gdy nie usuniemy wkrótce jelit z dziczyzny, bakterje te opanowują cały organizm, a wtedy badanie mikroskopowe mięsa sarny, dzika czy zająca, wykaże bardzo groźne dla życia i zdrowia bakterje tyfusu, czerwonki, i t. d. Należy więc zwrócić uwagę na wczesne usuwanie wnętrzności, wbrew przyjętemu zwyczajowi.

Zadaniem towarzystw łowieckich jest najszersze uświadomienie myśliwych w zakresie tematu przezemnie poruszonego.

JÓZEF PARNES.

MASAKRA

Krwawi bardzo serce venatora-przyrodnika na widok ogromnych pęków kwiczołów, paszkotów, drozdów śpiewaków i rdzawobokich, porozwieszanych na wystawach warszawskich sklepów gastronomiczno - spożywczych — jak Polska długa i szeroka!

Kto nie jest tylko strzelaczem, lecz myśliwym „całą gębą" — jak mawiali przodkowie — nie może na ten widok przejść do porządku dziennego.

Pisałem ja i szereg innych autorów o tem — niemało wylano atramentu i... jak było niestety, tak i jest narazie jeszcze. Zaledwie ustaliła się złota polska jesień, już masakra w całej pełni!...

Kwiczoł wyśmienity jest gastronomicznie, ze swojemi pobratymcami paszkotem, drozdem śpiewającym i rdzawobokim (niestety nie wyeliminowanemi jeszcze z kategoryj ptaków łownych), w łagodnym majonezie, oblany grzeczną butelczyną Chambertina czy innego Pomarda!...

Tymczasem ileż wszystkie gatunki drozdów (turdusów) tępią szkodników ze świata owadów? Prawda, niemało one przytem skonsumują jagód jarzębinowych, jałowcowych, tarniny — podczas swych nalotów. Jednak produkcja przeróżnych znakomitych nalewek nie ucierpi na tem, wystarczy dla nich i dla myśliwych, zwolenników dobrej zawartości swych manierek.

Wszystkie „turdusy" są na tyle ostrożne i mądre, że rzetelnie upolować je strzelbą, nawet z ukrycia z pod drzew jarzębiny czy jałowcowych krzaków, jakiś dziesiątek w ciągu jednego lub dwóch dni, nie jest łatwo. Żaden „snob" nie da się na ten kawał nabrać i nie pokusi się na marne łowy. O! — ale tak upolowany smaczny kwiczołek — cóż za delicja, a nawet godziwa nagroda za fatygę! To nie to, co duszone ptaszki! Chociaż niezawodnie sprytni handlarze-pośrednicy, a jeszcze dowcipniejsi operatorzy terenowi, mistrze lepu i sideł, szybko skapują stawiane przez etykę łowiecką desiderata... Wszystkie kwiczoły okażą się strzelane!... „Na mudrość — je chytrość — panoczku!".

„Towar" drozdowy, dostarczany jest głównie i masowo z pod Skierniewic, Nowego Targu i Sącza z Małopolski. Nie daj Boże dożyć do czasów, gdy czarowny śpiew drozda nie będzie już koił duszy myśliwskiej na ciągach słonek! Gdy głucho i cicho stanie się na świecie Bożym! Włosy na głowie dęba stają od samego przypuszczenia!

Należy koniecznie przedłużyć czas ochrony dla tych ptaszków, gdyż myśliwy strzela je tylko potrosze podczas polowań na ptactwo, tymczasem procederzyści od listopada do stycznia włącznie duszą niesłychane ilości. *). Jak tylko „producenci" i pośrednicy zrozumieją, że zbytu niema, pozbędą się swych instalacyj terenowych — baniek z lepem, gór włosienia końskich ogonów, którego nigdy nie brak i wreszcie nastanie normalny bieg sprawy. Paszkoty, kwiczoły, drozdy i drozdziki — uratowane! Tylko zagranica, „kulturalna" Europa, będzie je tępić — ale nie my Polacy! — Wyniki tego zakazu nie dałyby na siebie długo czekać — w najbliższych sezonach!

Oby św. Hubert natchnął miarodajne czynniki i ludzi dobrej woli, salwując tym sposobem życie tak wielu ślicznych i pożytecznych istotek!

Od wszelkiej zbędnej masakry, nietylko ludzkiej, ale nawet paszkoto-kwiczoło-drozdowo-drozdzikowej uchowaj nas św. Hubercie! Zielony sztandar, symbol nadziei, niech szumi nietylko dla nas, lecz i dla drozdów!...

Precz z masakrą!...

ADAM RZEWUSKI.

*) Nie uważamy tego za właściwe rozwiązanie kwestji. (Przyp. red.).



A n t o n i n a Ż a b i ń s k a: *Dżolly i S-ka,* nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój". Str. 182, ilustracyj w/g. rysunków Berezowskiej 20, fotografij wykonanych w Warszawskim Ogrodzie Zoologicznym 20.

Prześliczną książkę otrzymałem „na gwiazdkę". Nadeszła 22 grudnia, ale złożyło się tak, że miałem czas tylko „rzucić okiem", stwierdzić, że autorką jest Żona Dyrektora Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego, D-ra Jana Żabińskiego, i że traktuje o młodości zwierząt. Niestety, przez zapomnienie, pozostawiłem ją na święta w Redakcji, to też wielce chodziłem stroskany, że już nie zdążę recenzji o tej książce dać w Nr. 1 z r. 1939. Tymczasem los zrządził inaczej: pospóźniały się dwa ważne artykuły i trzeba było odłożyć pracę w drukarni do 28 b. m., a więc miałem możność w przeddzień zaznajomić się z treścią „Dżolly i S-ki".

Przeczytałem tę książkę jednym tchem... To, co zawiera jej treść, można nazwać uchyleniem rąbka wielkiej miłości do zwierząt, zaprawionej jakąś dziwnie głęboką nutą wyrozumiałości i pobłażania, jednocześnie zaś niespotykaną umiejętnością postępowania z drobiazgiem zwierzęcym, o którym Autorka mówi wprost z matczynem uczuciem: „I czyż naprawdę bardzo różnią się pod tym względem dzieci ludzi i zwierząt?"

„Dżolly i S-ka", to historja małej hjenki, którą wychowali miłujący zwierzęta ludzie. (Rzecz dzieje się w warszawskiem Zoo). Odratowali prawie nieżywe maleństwo, które zabrali od złej matki i wychowali ją wśród ludzi, w towarzystwie innych zwierząt i własnego dziecka. Dowiadujemy się przy tej sposobności, że hjeny i na wolności, w przeciwieństwie do innych zwierząt, nie odznaczają się ani dobrem pożyciem, ani rozwiniętem normalnie uczuciem macierzyńskiem. Bywa często, że hjenice odmawiają pokarmu swym dzieciom, a nawet, gdy te zdechną z głodu, pożerają ich zwłoki.

Dżolly, ta uratowana wielkiemi zabiegami hjenka pasiasta, wzrasta powoli w radości i „dobrobycie", jest kochana i pieszczona, a chociaż płata ustawicznie tysiączne figle i psoty, pozostaje zawsze ze swymi opiekunami, w ich domu, szczęśliwa sama i wiele radości przynosząca ludzkiemu otoczeniu.

Dżolly doznaje też sama podczas swego rocznego żywota różnych przykrych przygód, wychodząc z nich cało, dzięki opiece Autorki, lecz, niestety, wrodzone wścibstwo i włóczęgostwo doprowadza ją do tragicznego końca. Wybiegła ciemnym wieczorem przez złośliwie niedomkniętą przez dozorcę furtkę, wędruje torem kolejki, a gdy usłyszała znajomy gwizd, wzywający ją — a jest nadzwyczaj posłuszna — natychmiast wraca. Lecz oto naprzeciw sunie sapiąc i prychając, rycząc przeraźliwie, jakaś nieznana apokaliptyczna bestja, jarząc wielkie ognie w dwojgu swych ogromnych oczu. I Dżolly, jak urzeczona, a jednocześnie pełna przerażenia, oczekuje pośrodku żelaznych ścieżek szyn na swój los, który się dopełnia...

Autorka nie daje już opisu tej ostatniej sceny. Byłoby to zbyt bolesne... Kończy słowami: „Ostatkiem przytomności Dżolly słyszy jeszcze gwizd nawołujący, lecz zagłusza go potężny ryk lokomotywy... Gdzieś daleko, wśród opłotków Ogrodu, porwane razem ze śnieżną kurzawą przez gwałtowny podmuch zimnego wiatru, zamiera i ginie beznadziejne wołanie: Dżoo-lly!"

Jest w tem zakończeniu nietylko wielka rezerwa w wypowiedzeniu własnych niezmiernie przykrych przeżyć, których może zbyt pochopnie nie należy wydawać na żer „niewtajemniczonych", lecz również widnieje zeń niezwykły smak i umiar artystycznoliteracki.

Bowiem Pani Żabińska jest nietylko wielką miłośniczką wszystkich na świecie zwierząt, nietylko potrafi czynnie i praktycznie zajmować się niemi „od kołyski", aż do okresu dojrzałości, nietylko jest fenomenalnie trafną i subtelną obserwatorką psychologji „najdzikszych" zwierząt, lecz także doskonałą narratorką, snującą przed czytelnikiem żyjące obrazy słowami prostemi, zdaniami zwięzłemi, językiem zrozumiałym, a jednocześnie tak... serdecznym!

Historja życia Dżolly przebiega w towarzystwie różnych innych zwierząt, które bynajmniej w sercu Autorki nie są na drugim planie, co stwierdza, że Jej „serca dla zwierząt" nie podbiła, jak to zazwyczaj bywa, jakaś ulubienica, lecz że z tem sercem idą razem świadome swego posłannictwa: rozum i wola.

Autorka zaznajamia nas z całem „towarzystwem" Dżolly. Mówi zatem o małym lewku Kalim, który został przypadkiem mocno poturbowany przez własną matkę, a co stanowiło o zabraniu go do „domu ludzi", który był dla zwierząt w chwilach najważniejszych, rozstrzygających o życiu — wszystkiem.

Dalej poznajemy młodą lamparcicę Kleo, którą tak oto świetnie charakteryzuje Autorka: „Nerwowa, wrażliwa i namiętna, jednocześnie uczuciowa i okrutna, bardzo inteligentna lecz leniwa w spełnianiu cudzych żądań, rozkoszna, pieszczotliwa, a przytem egoistyczna, niezależna i uparta konserwatystka". (A czyż niema identycznych przedstawicielek płci pięknej w naszym ludzkim rodzie?).

Poznajemy wreszcie Białkę kozę, i olbrzymią dożycę Dorę, a wszystkich zwierząt psychologja jest niezwykle wnikliwie ujęta.

Oto środowisko, w którem nieustannie przebywał „król stworzenia" syn Autorki, Ryś, ucząc się miłości dla swych... zwierzęcych rówieśników.

Cała książka jest śliczna, miła, dobra — od deski do deski — ale poprostu znakomite są w tym stylu niezwykłej serdeczności, ciepła i zrozumienia każdego bijącego serca żywego stworzenia 4 rozdziały końcowe.

Jeśli w swej dedykacji, jaką Szanowna Autorka raczyła na swej pracy wpisać, nazywa mnie gorącym przyjacielem świata zwierząt, to Jej należy się to określenie stokrotnie!

Bardzo ładne są portrety-karykatury długiego szeregu zwierząt egzotycznych w wykonaniu Berezowskiej, to też niezwykle sympatycznie dopełniają całości książki. Wśród szeregu tych zamorskich przedstawicieli fauny, spotykamy również dobrze nam znanych: jelenia, wiewiórki, jeża i bąka w charakterystycznej pozycji.

Prócz tych rysunków ilustrują właściwą opowieść doskonałe zdjęcia fotograficzne różnych momentów opowiadanej przez Autorkę historji biednej Dżolly...

WŁ. Z.

*

Wild, Wald und Welt — hr. Pückler-Burghauss. 1938. Wyd. Paul Parey w Berlinie.

Ładnie wydana i ładnie ilustrowana książka. W pierwszej części zawiera dobre opisy przeżyć myśliwskich na Śląsku Górnym niemieckim i polskim, ciekawe refleksje na temat ewolucji stosunków łowieckich po wielkiej wojnie, rekordowe wyniki osiągnięte w rozkładach najwybitniejszych myśliwych Europy, blaski i cienie wypraw w góry na jelenie i kozice. Drugą część książek poświęca autor wspomnieniom z podróży do Dalmacji, Rzymu, Wiednia, Nadrenji i wpoprzek Śląska. Kończy ją wreszcie zbiorem przepisów cooktail'owych oraz rzekomo humorystycznych anegdot śląskich. O ile w części łowieckiej książki wyczuwa się pióro wytrawnego i wrażliwego na piękno natury myśliwego, to w części beletrystycznej pióro to zawodzi, zwłaszcza, że zaprawione bywa często sosem politycznym, niezbyt harmonizującym z całością.

J. G.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

WILD UND HUND

Nr. 36/1938, str. 573. C. Weidemann. *„Występowanie jarząbków i ich tryb życia w Nadrenji".* — Jarząbek staje się coraz rzadszy w Europie. Pod wpływem intensyfikacji gospodarki leśnej, coraz wcześniejszych wyrębów, zamiany dawnych mięszanych drzewostanów przez jednolite gatunkowo lasy, ustępuje ten najmniejszy z tetraonidów z zajmowanych dotąd stanowisk, gdzie nie znajduje już ani właściwego pożywienia, ani tak cenionego spokoju. Tem na większą przeto uwagę zasługuje fakt, iż w tak daleko wysuniętym na zachód kraju, jakim jest Nadrenja, zachował się dotąd jarząbek w ilościach dość znacznych. Zawdzięczać to należy okoliczności, że właśnie tu nie ujawnił się dotąd pęd do masowego przekształcania pierwotnych, mięszanych lasów na jednolite wysokopienne drzewostany, pozbawione podszycia. Na podstawie ankiety, zorganizowanej przez autora za pośrednictwem miejscowych łowczych powiatowych, ustalono, iż na obszarze lasów górskich Nadrenji przebywa dziś około 1500 — 2000 jarząbków. Najlepsze wyniki dozwolonego odstrzału wykazuje okrąg Rheinland-Nord, gdzie w 1934/5 r. ubito 65 sztuk jarząbków, w 1935/6 — 55, w 1936/7 — 35, w 1937/8 — 22 sztuki.

Jarząbek spędza życie niemal wyłącznie na ziemi, siadając na drzewa tylko w chwilach niebezpieczeństwa. Odmiennie od swych krewniaków, cietrzewia i głuszca, jarząbek jest ścisłym monogamistą. Jarząbki łączą się w pary już poczynając od jesieni i dlatego zimą widzi się je najczęściej w parach, nigdy w stadach. Okres parzenia się następuje jednak dopiero z końcem marca i trwa do kwietnia. W maju samica tworzy gniazdo na ziemi, pod osłoną zwisających gałęzi krzewów, w które składa 6—10 bronzowych, czarno nakrapianych jaj. Ten okres jest najniebezpieczniejszy dla jarząbków, gdyż wtedy właśnie zarówno samica, jak jaja, a później pisklęta padają ofiarą myszkujących kun i wiewiórek, a także jastrzębi. Latem udawało się autorowi natykać na stadka młodych jarząbków, kąpiących się w piasku lub karmiących się czernicami, stanowiącemi ulubioną jagodę. W razie zauważenia intruza całe stadko pod przewodem starki rozpierzcha się w strony, a często siada na drzewa. Obok jagód żywią się jarząbki także nasionami traw leśnych, a przedewszystkiem owadami, które łowią z ogromną zręcznością. Zimą wydobywają z pod śniegu wrzos.

DER DEUTSCHE JAEGER.

Nr. 37/1938, str. 593. E. von Breisky. *„Odstrzał zwierzyny w Lungau dla celów żywnościowych w 1918 r."* — Jako komendant okręgu Lungau autor otrzymał w styczniu 1918 r. od rządu krajowego w Salzburgu polecenie przeprowadzenia w określonym terminie odstrzału 80% jeleni i kozic dla zaopatrzenia ludności w żywność. A. Breisky, będący sam zapalonym myśliwym — hodowcą, próbował przekonać władze w Salzburgu o fatalnych skutkach takiej masowej trzebieży szlachetnej zwierzyny, ale oczywiście bezskutecznie, wobec powoływania się przedstawicieli rządu krajowego na nacisk „z góry". W tych warunkach nie pozostawało nic innego, jak podporządkować się zarządzeniu, łagodząc jedynie jego wymagania w miarę możności.

A na obszarze Lungauześrodkowane były najlepsze tereny łowieckie, należące do tak znanych w świecie myśliwskim osób, jak ks. Schwarzenberg, hr. Henkel-Donnersmark, hr. Palffy, hr. Karolyi, hr. Wilczek, bar. Walterskirchen, hr. Fürstenstein i t. p., nietylko pierwszorzędnych myśliwych, ale i zapalonych hodowców zwierzyny, dzięki zabiegom których i olbrzymim nakładem udało się właśnie doprowadzić zwierzostan w Lungau do wspaniałego rozkwitu.

Kiedy przeto na zwołanym przez autora zebraniu właścicieli łowisk, względnie ich przedstawicieli, autor zaznajomił obecnych z decyzją rządu krajowego — powstał nieopisane zamieszanie i jednomyślny protest przeciwko zarządzeniu, rujnującemu odrazu wieloletnią pracę hodowlaną. Wzburzenie uśmierzyło oświadczenie p. Breiskiego, który podkreślił, iż według jego rozumienia mowa tu jest wyłącznie o odstrzale zupełnie dojrzałych samców, których ilostan zachcą określić właściciele poszczególnych łowisk jako najlepiej znający swój zwierzostan, przyczem narazie ma być dokonany odstrzał tylko 50% zakwalifikowanych w ten sposób byków i capów.

W wyniku tego oświadczenia na obszarze 10 łowisk zadeklarowano jako dojrzałe do odstrzału 60 byków jeleni i 40 capów, a więc odstrzelić zobowiązano się połowę tego, czyli 30 jeleni i 20 kozic. W taki sposób uczyniono zadość i wymaganiom sfer rządowych i interesom właścicieli łowisk.

Kiedy zbliżył się termin dostawy ubitej zwierzyny, autor stwierdził, iż obok całkowitego wywiązania się z przyjętych zobowiązań 9 właścicieli łowisk w Lungau, jeden z nich, p. E., nie dostarczył ani jednej sztuki. Był to dobry znajomy autora i wzorowy myśliwy-hodowca, u którego p. Breisky polował wielokrotnie. Aby sprawę wyjaśnić, udał się autor osobiście do posiadłości p. E. i tu się dowiedział, że odstrzał nie mógł być przeprowadzony, gdyż łowczy został podczas służby w wojsku wzięty do niewoli, młody jego zastępca nie miał żadnego doświadczenia myśliwskiego, zaś 70 lat liczący właściciel łowiska nie mógł odstrzału w porze zimowej wykonać. Na zaproszenie p. E. autor podjął się wykonania tego zadania i w ciągu 2 dni poszczęściło mu się ubić 3 jelenie i 3 kozice, t. j. tyle właśnie, ile z podziału przypadało na p. E.

J. G.

ZBIÓRKA NA F. O. N.

Na skutek odezwy Wołyńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, by na polowaniach zbiorowych zbierano na F. O. N. wystrzelone łuski — Wojewódzkie Koło Łowieckie w Łucku zarządziło tę zbiórkę.



Fot. St. Madeyski.

Po każdym miocie myśliwy obowiązany jest wystrzelone łuski wrzucić do specjalnego worka z napisem F. O. N.

Na załączonej fotografji najstarszy członek Koła p. J. Wosiński spełnia swój obowiązek.

St. M.

Nowe rozporządzenie o czasach ochronnych

W Dzienniku Ustaw R.P. Nr. 97 z r. ub. ukazało się (poz. 653) następujące rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 30 listopada 1938 r. o ochronie niektórych zwierząt łownych:

Na podstawie art. 51 ust. 1 lit. a), b), c) i d) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) w brzmieniu ustalonem art. 5 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67, poz. 622), zarządzam co następuje:

§ 1. Czas ochronny, ustalony w art. 49 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckim, rozszerza się tak, że obejmuje on:

1) dla danieli-rogaczy okres od 1 grudnia do 15 października;

2) dla sarn-kozłów w województwach: krakowskim, lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim okres od 1 lutego do 31 maja, w województwach zaś pozostałych okres od 1 lutego do 15 maja;

3) dla zajęcy-szaraków w województwach poznańskim i pomorskim okres od 15 stycznia do 15 października, w województwach: wileńskim, nowogródzkim i poleskim okres od 1 lutego do 31 października, w województwach zaś pozostałych okres od 1 lutego do 15 października;

4) dla pardw okres od 15 listopada do 31 sierpnia;

5) dla cietrzewi-kogutów w województwach wileńskim i nowogródzkim okres od 1 grudnia do 15 marca i od 1 czerwca do 31 sierpnia, w województwach zaś pozostałych okres od 1 grudnia do 15 marca i od 1 czerwca do 15 sierpnia, dla cietrzewi-kur w województwach: wileńskim, nowogródzkim, białostockim, poleskim i wołyńskim okres od 15 września do 31 sierpnia;

6) dla bażantów-kogutów okres od 1 marca do 15 października;

7) dla dzikich kaczorów w województwach poznańskim i pomorskim okres od 1 grudnia do 15 lipca, w województwach zaś pozostałych okres od 1 czerwca do 15 lipca;

dla dzikich kaczek (samic i młodych) w województwach poznańskim i pomorskim okres od 1 grudnia do 15 lipca, w województwach zaś pozostałych okres od 1 stycznia do 15 lipca;

8) dla innego ptactwa wodnego i błotnego okres od 1 stycznia do 15 lipca;

9) dla puhaczy w województwie wileńskim okres od 1 marca do 15 września, w pozostałych zaś województwach okres od 1 lutego do 31 października.

§ 2. Zabrania się całkowicie polowania na niedźwiedzie, łosie byki, muflony, dropie i dropie-kamionki (strepety).

§ 3. Wprowadza się czas ochronny dla:

dzików od 1 marca do 30 czerwca,
rysi od 1 marca do 31 grudnia,
żbików od 1 lutego do 30 września,
kun leśnych (tumaków) od 1 marca do 30 września,
norek od 1 lutego do 31 grudnia.

§ 4. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 1939 r. i obowiązuje do dnia 31 grudnia 1942 r.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych: *J. Poniatowski.*

KRONIKA MYŚLIWSKA



Wilki, ubite zimą 1938 r. Fot. Inż. W. Dankiewicz.

— W dniu 12 grudnia 1938 r. odbyło się polowanie u pp. Tomaszów Łaszkiewiczów w Zborowie (woj. kieleckie), na którem ubito: 630 zajęcy, 44 bażanty, 43 kuropatwy (za zezwoleniem Województwa) oraz 3 słonki, razem 720 sztuk.

W polowaniu wzięli udział (kolejność według zabitych sztuk): p.p.: Konrad Niemojewski, Ks. Artur Radziwiłł, Tomasz Karski, Ks. Maciej Radziwiłł, Szymon Karski, Stanisław Morawski, Ks. Konstanty Radziwiłł, Andrzej Karski, Henryk Kieniewicz, Ludomir Szydłowski Andrzej Dzianott.

— W dniu 7.12 odbyło się polowanie w majątku Osiek pow. płockiego u p. Antoniego Czaplickiego. Przy udziale 14 myśliwych ubito 304 zające, 95 kuropatw (za pozwoleniem Województwa) i 20 bażantów. Najwięcej na pokocie miał p. Antoni Pruski z Dyblina — 47 sztuk.

Pokot lisów na polowaniu opisanem na str. 21.

Uczestnicy wyprawy	I dzień	II dzień	III dzień	IV dzień	Razem	
pp. płk. Surówka	3	2	1	—	= 6	27 sztuk
płk. Rowecki	—	4	1	—	= 5	
ppłk. Nakoniecznikoff	—	—	1	2	= 3	
kpt. Pisański	—	1	6	3	= 10	
Właścic. terenów	—	2	1	—	= 3	

— Dnia 13-go grudnia ub. r. odbyło się polowanie w parku w Starym Sielcu — powiat Rawicz — u księcia Olgierda Czartoryskiego.

W czasie od godziny dziesiątej do drugiej opolowano w pięć strzelb około 20 hektarów ogrodu. Na rozkładzie: 11 zajęcy, 309 kogutów bażantów, 804 króliki — razem sztuk 1124.

W polowaniu wzięli udział: książę Janusz Radziwiłł, hrabia Benedykt Tyszkiewicz (senior), hrabia Zygmunt Skórzewski, hrabia Konstanty Bniński, pan Alfons Poklewski Koziełł.

NA FUNDUSZ DOMU ŁOWIECKIEGO

Zamiast wysyłania życzeń świątecznych i noworocznych, p. Władysław Zabiełło złożył Zł. 5.—.

MYŚLIWI
zbierajcie
wystrzelone
łuski na F.O.N.
i oddawajcie je Łowczym Powiatowym

TREŚĆ NUMERU:

W obronie przyszłości łowiectwa polskiego (stosunek władz i społeczeństwa)—*W. Garczyński.* Mikita—*W. L. von Falkenau.* Afryka — *St. Zaborowski.* Jelenie w puszczy Iłżeckiej — *Inż. T. Śliwiński.* Przygoda z lisem — *S. S.* Na skrzepłych rozlewiskach — *R. Mazurkiewicz.* Polowanie na lisy na „ściankach" podolskich — *Kpt. Pisański.* Z łowiska cietrzewi — *H. Buszyński.* Możliwości łowieckie Jugosławji — *L. Rzyszczewski.* Mięso dziczyzny jako czynnik chorobotwórczy dla człowieka — *J. Parnes.*

Masakra — *A. Rzewuski.* Przegląd wydawnictw — *Wł. Z.* i *J. G.* Z prasy zagranicznej — *J. G.* Zbiórka na F. O. N. — *St. M.* Nowe rozporządzenie o czasach ochronnych. Kronika myśliwska: Czapla z obrączką — *J. Wł. K.*

OGŁOSZENIA DROBNE

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 6.—; za pół roku zł. 12.—; za rok zł. 24.—; miesięcznie zł. 2.—. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. 5.—; za pół roku zł. 10; za rok zł. 20.—; miesięcznie zł. 1.75. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklam. w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrach. Nr 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.
Przed tekstem 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25) codziennie; prócz sobót, między 3-ą i 4-tą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

„OGRODNIK" ILUSTROWANY DWUTYGODNIK

NAJSTARSZE PISMO OGRODNICZE W POLSCE POD RED. **ST. SKAWIŃSKIEGO**

zamieszcza pouczające i przystępnie pisane artykuły pióra wybitnych specjalistów

CO KWARTAŁ DODATEK W POSTACI BROSZURY

z zakresu różnych działów ogrodnictwa

PRENUMERATA NA R. 1939 ZNACZNIE OBNIŻONA

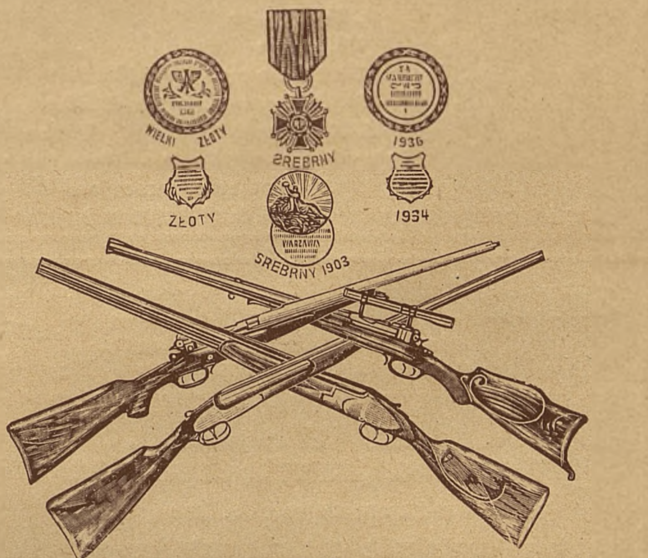
z dodatkami — rocznie zł. **15.—**; kwartalnie zł. **3.75** • bez dodatków — rocznie zł. **12.—**; kwartalnie zł. **3.—**

PREMIUM: Prenumeratorzy, którzy z góry, **przed 1 marca** 1939 r., wpłacą całkowitą roczną prenumeratę na rok 1939, w sumie **15 zł. bezpośrednio** do Administracji „Ogrodnika", przekazem rozrachunkowym (Nr 179) lub przez P. K. O. konto Nr 16.523, otrzymają wiosną 1939 r.

5 RÓŻ KRZACZASTYCH

Na koszty opakowania i przesyłki róż należy wpłacić **zł. 1.20**, czyli ogółem **zł. 16.20**

Administracja: **Warszawa, ul. Boduena 4.** Okazowy numer wysyła się po otrzymaniu 15 gr. w znaczkach pocztowych



MISTRZOWSKO ARTYSTYCZNA WYTWÓRNIA KOLB DO BRONI MYŚLIWSKIEJ (ŚRUTOWEJ i KULOWEJ)

BRONISŁAWA KULIŃSKIEGO

w Warszawie, ul. Smulikowskiego 11, telefon 6-77-03

wytwarza indywidualne kolby oraz przeprowadza korektury (sposobem naginania specjalnymi aparatami) gotowych przykładów broniowych w najbardziej szerokim zakresie, w zależności od budowy ciała i nawyknień strzelającego. Idealne kapy (przyramienia) korkowe własnego pomysłu.

SKÓRY SARNIE, JELENIE NA ZAMSZ



wysyłać

do Warsz. Sp. Myśliwskiej

Wilno, Wileńska 10

przyjmujemy również

SKÓRY DO WYPRAWY, NA DYWANY I KOŁNIERZE

Cennik na żądanie.

S. KAMOCKI

MILANÓWEK, GRUDOWSKA 12.

Telefon 31-47

Zakupuje żywe bażanty, kuropatwy i zające

Sieci, personel fachowy do dyspozycji

Płatność gotówką

PTAKI ZIEM POLSKICH

opracował **Dr. JAN BOGUMIŁ SOKOŁOWSKI**

Tom pierwszy jest do nabycia w Administracji „Łowca Polskiego" Warszawa, Nowy Świat 35, tel. 666.29. Konto czekowe P.K.O. 8082. Cena tomu pierwszego w oprawie płóciennej ze złoceniami — zł. 25; broszurowanego — zł. 20. Cena wraz z przesyłką pocztową

TOM PIERWSZY ZAWIERA ROZDZIAŁY:

1. Historja ornitologji w Polsce. 2. Ochrona ptaków. 3. Wędrówki ptaków. 4. Pochodzenie ptaków występujących w Polsce. 5. Klucz do oznaczenia. 6. Część systematyczna tomu pierwszego: śpiewaki, jeżyki, kraski, kukułki (352 stron druku) Dzieło to obejmuje pierwsze od lat pięćdziesięciu bardzo szczegółowe wiadomości o naszych ptakach z uwzględnieniem wyników najnowszych obserwacyj naukowych i przedstawia jednocześnie owoc długoletniej ornitologicznej pracy autora „PTAKI ZIEM POLSKICH" są nietylko niezbędnym podręcznikiem dla każdego przyrodnika-fachowca, a więc zoologa, nauczyciela, leśnika, rolnika i t. p., lecz z powodu swej przystępnej i popularnej formy będą również przewodnikiem i ciekawą lekturą dla każdego miłośnika przyrody.



MUZEUM MYŚLIWSKIE

i PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW i ZWIERZĄT,

oprawy rogów i kłów, **wyprawy** skór z włosiem i na zamsz, **robienia** dywanów i kołnierzy zwierzęcych

STEFANA GREULICHA

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 61. Telefon 5-37-84.



WIKTOR ŁASTOWSKI



PRACOWNIA WYPYCHANIA ZWIERZĄT I PTAKÓW

oprawa rogów, robienie dywanów, wyprawa skór.

Warszawa, Krak. Przedm. 10, telefon 6-86-78.

Wprost kośc. Ś-go Krzyża

Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni

J. SOSNOWSKI, w Warszawie

sp. z o. o.

Krak. Przedm. 7, tel. 647-47



Poleca strzelby:

G. Defourny-Sevrin à Liège
A. Forgeron „
A. Francotte „
Lepage „

Sztucery, Trójlufki

G Defourny-Sevrin à Liège
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie

SKŁAD BRONI i AMUNICJI

RUSIECKI & DZIEDZIC

WARSZAWA, ul. MARSZAŁKOWSKA 97

w pobliżu Dworca Głównego

TELEFON 726-13



POLECA DUBELTÓWKI:

A. FORGERON — SAUER
A. FRANCOTTE — B.S.W. SIMSON
MAN. LIEGEOISE — WALTHER

BEZKURKOWE OD ZŁ. 200.–
KURKOWE OD ZŁ. 85.–

BROŃ OKAZYJNA

WARSZTATY REPARACYJNE

Zwierzynę, ptactwo dzikie, drób

Zakupują w każdej ilości po najlepszych cenach rynkowych

BRACIA PAKULSCY

Warszawa, Centrala Bracka 22

telef. 631-73, 631-58 telegr. „Brapakul"

Przy zakupie win naturalnych, gronowych, które posiadamy w wielkim wyborze, poczynając od zł. 3,75 za butelkę, dla JWP. Ziemian ustępujemy 10 procent rabatu

JAKÓB MAREK

WARSZAWA, UL. BIELAŃSKA 22

POLECA OBUWIE MĘSKIE SPECJALNOŚĆ

BUTY

DO GOSPODARSTWA, DO KONNEJ JAZDY, MYŚLIWSKIE

ROK ZAŁOŻENIA 1869



Pomoc Zimowa — to nakaz chwili

Pomoc Zimowa — to obowiązek każdego obywatela

Konto P. K. O. 70.200 Pomoc Zimowa

DLA ZNAWCÓW polecamy DUBELTÓWKI ZNAKOMITYCH BELGIJSKICH RUSZNIKARZY, W LUKSUSOWYM WYKONANIU. **Z BOCZNYMI ZAMKAMI SYSTEMU HOLLANDA**, Z EŻEKTORAMI

wyrobu: **A. Jos. Defourny w cenie zł. 525.–** **Jean Stassart w cenie zł. 1200.–**
Henri Delrez „ „ 675 – **Aug. Lebeau „ „ 1650.–**

STRZAŁ MAKSYMALNY! Z LUFAMI WHITWORTH'A DROŻEJ O ZŁ. 550.– DUŻY WYBÓR STRZELB PARZYSTYCH

Wyłączna sprzedaż

W WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYŚLIWSKIEJ

w Warszawie, ul. Królewska 17 oraz w Oddziałach W. S. M. w Poznaniu, Lwowie, Wilnie i Katowicach

PROSPEKTY NA ŻĄDANIE. WZOROWE ZAKŁADY RUSZNIKARSKIE NA MIEJSCU